Nr. 39. Warszawa, dnia 13 (25) Września 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Preliminarya pokoju. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: W. Doroszewicz. Na Sachalin (c. d.). — ŻYCIE SPOŁECZNE: „Zaczekajcie!" — Listy petersburskie, p. Pawła Krzyżanowskiego. — Z Galicyi, p. Cho. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: „Zwyrodniałe matki," p. J. W. — LITERATURA I SZTUKA: Prerafaeliści, p. dr. L. W. — SPRAWY EKONOMICZNE: Dziesięcioletnia działalność instytucyj obowiązkowego ubezpieczenia robotników w Niemczech, II. — O prawdę: Odpowiedź p. Leo—Belmontowi, p A. G. Bema. — W dali. — Prasa rosyjska. — Kronika. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

PRELIMINARYA POKOJU.

Nareszcie! Czterech miesięcy czasu potrzebowała dyplomacya w Konstantynopolu, aby z mąki greckiej przy tureckim ogniu upiec chleb z zakalcem. Dzienniki wiedeńskie podały już tekst całkowity umowy podpisanej w d. 18 b. m.—ze strony Grecyi i Europy przez ambasadorów, ze strony Turcyi przez jej ministra spraw zagranicznych, Tewfika-baszę. Europa wpływa do umowy jako pośredniczka, krępująca wolę obu mocarstw. Na przypadek, gdyby sułtan podpisu odmówił, Europa nad tą odmową przejdzie do porządku dziennego: pokój uważać będzie za ustalony, obowiązujący na zasadach, którem obecnie już obie strony związała. Taki jest zamiar, ale czy takim będzie czyn? Oporu Grecyi przewidywać nie wypada. Pośrednictwo obeszło się z nią surowo i nie zostawiło jej nadziei wymodlenia lepszych warunków, skorzystania z okoliczności dla jakiegoś pomyślniejszego stanu. Preliminarya rozwiązują już najważniejsze zagadnienia; mniej jednak ważnych, ale jątrzących pozostało jeszcze tyle, że nawet po podpisaniu traktatu pokoju stosunki za prawnie urządzone uważać będzie można dopiero za kilka miesięcy. Pośrednicy dyplomatyczni do ostatniej chwili czynnymi być muszą i dopóki sułtan podpisu swojego pod ugodą z d. 18 b. m. nie położy, żaden z nich nie będzie mógł zażyć tak upragnionych wczasów.

Przewidywanym w obecnych punktach przedugodowych, stwierdzanym już podczas rokowań był prąd przychylności dla Turcyi. Dwa złożyły się na tę życzliwość czynniki: interes mający być zaspokojonym w przyszłości kosztem Turcyi, i niepodobieństwo zupełnego zerwania z prawem silniejszego, z zasadą uświęcającą powodzenie orężne i podbój. Trudno było od dyplomacyi z końca XIX wieku, działającej w sprawach wschodnich, które już traktat paryski poddał pod zbiorową wolę Europy, wymagać takiego uszanowania elementarnej prerogatywy siły, aby Turcya mogła na zawsze już zatrzymać to, co orężem w kwietniu zajęła. Nie wypadało pośredniczce poświęcać zupełnie zasady, w imię której właśnie działała w r. 1856 na kongresie paryskim. Zrobiła i tak wiele, gdy pozwoliła Turcyi odzyskać część strat poniesionych w latach 1880 i 1881, kiedy Grecya bez wojny, bez żadnej zasługi, bez przyczynienia się nawet, wskutek samej tylko klęski tureckiej dostała od Europy Tessalię, dar nieszczęsny, widownię klęski upokarzającej, materyalnie dotkliwej, bolesnej. Dziś zmieniły się czasy. Dziś, gdyby nie Anglia, sułtańskie prawo podboju napasłoby się o wiele lepiej, niż teraz i owego szlachetnego podarunku mało-by może Grekom zostało; dziś, prostując granicę korzystnie dla Turcyi, sprostowano ją szkodliwie dla Grecyi: ale ostatecznie ziemia narodowo grecka jako wyodrębniona całość i politycznie też grecką być nie przestaje.

Preliminarya składają się z jedenastu artykułów, nieporządnie ustawionych. Drugi dopiero zajmuje się tem, co powinno być przedmiotem pierwszego: kara za klęskę. Grecya płaci 4 miliony f. tureckich (prawie angielskie). Wypłacalność jej weźmie pod straż swą umyślna komisya wielkich mocarstw w Atenach; wszystkie dawniejsze długi wraz z nowemi będą miały wydzieloną dla siebie część dochodów państwowych, i rozporządzać nimi będzie owa komisya. Na pokrycie kontrybucyi zaciągnie Grecya pożyczkę. Artykuł VI opiewa, że stan wojenny ustanie z chwilą podpisania preliminaryów. Dopiero po zapłaceniu kontrybucyi obie strony, przy udziale Europy, umówią się o sposób opuszczenia Tessalii. O ustępstwach terytoryalnych jest tylko zasadniczy pewnik w artykule pierwszym, że będą według dołączonej mapy. Artykuł ten mówi o komisarzach do rozgraniczenia, a zatem wyciągnięcia nowej granicy. Dyplomacya mówiła już i z jedną i z drugą stroną jakie miejscowości mają wrócić do Turcyi, ale ogłoszony tekst preliminaryów ich nie wymienia—komisarze muszą ich szukać na gruncie. W tym punkcie traktat jeszcze raz utknąć może, tak, że go tylko wielkim wysiłkiem majstrowie od pokoju i wojny z grzęzawiska wydobyć zdołają. Nie sama tylko dolina Tempe, ale miejscowości daleko na zachód położone wpadną w moc Turcyi, która zyska wszystkie przesmyki dla wylania się na równinę Tessalską. „Agencya Havasa" wylicza już punkta wydzierane Grecyi.

Niewiadomo jak ma być ustopniowaną wyprowadzka Turków z Tessalii; jakiej części kontrybucyi, już spłaconej, odpowiadać ma część terytoryum, którą obsadzić napowrót będą mogli Grecy. Również i to nie będzie miodem dla ust spragnionych nareszcie pokoju, uspokojenia—powrócenia do siebie i skupienia się w sobie; Grecya bowiem potrzebuje się zreorganizować jako państwo, a wzmocnić jako społeczeństwo. Patryoci jej, zamiast bractwa narodowego, podżegającego do wojny i wszczynającego ją pod srogą klątwą niepowodzenia, mają obowiązek zakładać szkoły, popierać przemysł, rolnictwo i uprawy ogrodowe, zachęcać do zrzeszania sił pracujących; siać, pielęgnować

rozum polityczny, zasilać potok życia narodowego strumieniami kultury i cywilizacyi powszechnej; podnosząc skalę inteligencyi, podnosić i poziom charakterów, przytłumiać fakcye, a wytwarzać jaknajczystsze, najrdzenniej tylko rzeczy publicznej oddane stronnictwa. Lud jest, ale widocznie nie ma ludzi; nie było ich i przed wojną. Rząd znajdował się w nieporządku, a państwo cierpiało wiele od prywaty, ciemnoty i niedbalstwa. Jeśli chłosta dziejowa nie ma iść na marne, zamiast laurów wojennych trzeba sięgnąć po owoce cichej pracy wewnętrznej, i pracę tę natychmiast rozpocząć.

We dwa tygodnie po ratyfikacyi preliminaryów Grecya przyśle pełnomocników swoich do Stambułu dla zawarcia pokoju we wszystkich przedmiotach powyższych i innych, którymi preliminarya zająć się nie mogły, gdyż byłoby to jeszcze przedwczesnem. Mają one na celu uprawidłowienie stosunków po wojnie — w sąsiedzkiem pożyciu wroga z wrogiem. Zobaczymy, co nam 2 tygodnie, dane sułtanowi do podpisania punktów przedugodowych, a po nich drugie dwa, dane Grecyi — przyniosą.

Tydzień polityczny. Rada państwa w Wiedniu zebrała się d. 23 b. m. Prawica proponowała na prezydenta Dawida Abrahamowicza; Kathrein odmawiał dalszego przewodniczenia. Gregr w imieniu pewnego odłamu Młodoczechów niechętnie wyrażał się o zamierzonem ukróceniu samowoli posłów: lęka się, aby sam nie dostał kagańca na usta.

Cesarz Wilhelm d. 20 b. m. w towarzystwie swego gospodarza wjechał do Pesztu. Przyjęcie wspaniałe; zmroczyło je tylko zajście, o którem donosi depesza: „Tłum przełamał kordon wojskowy, cesarz Franciszek Józef podniósł się i zawołał po węgiersku: niechaj się nikt do powozu mego nie zbliża!“ Dość oryginalne.

Biskup Majorki rzucił klątwę na hiszpańskiego ministra skarbu. Czy Watykan ukróci biskupa? Regentka, powróciwszy w tych dniach do Madrytu, ma postanowić względem dalszego istnienia ministeryum gen. Azcarragi. Powstańcy na Kubie wypuścili z niewoli garnizon Victorii.

Na prezydenta federacyi meksykańskiej, Porfiria Diaza, wykonał zamach niejaki Arruro. Prezydent ocalał, podobno nawet nie raniony.

P. Marschall ma otrzymać po Bülowie poselstwo przy Watykanie, albo ambasadę w Turcyi. Dotychczas ciągle jeszcze siedzi na urlopie.

Książę Montebello, ambasador Francyi w Petersburgu, otrzymał od rady ministrów podziękowanie za usługi, wyświadczone ojczyźnie przy zawieraniu przymierza. Następcą jego zostanie albo gen. Boisdeffre, szef sztabu generalnego, albo gen. France. Oczywiście, są to tylko pogłoski.

Anglików brygady Jeffreysa pobili Mahmandowie, ale Jeffreys nazajutrz wyparował ich ze stanowisk. Stało się to w przeszłym tygodniu. W każdym razie Anglicy ustawili już swój „ordre de bataille,“ nowe oddziały przysyłają na widownię; teraz czasu tylko potrzebują, aby zwyciężyć. Ruch nie udzielił się Afganistanowi; emir dał jakieś rękojmie wytrwania w przyjaźni z Anglią.

Anglicy zawarli jeszcze dawniej układ z Mahdim. Oddają mu krainę podrównikową, sami zajmują Chartum. Derwisze uszanują zachodnią granicę abisyńską. Włosi ustąpią zupełnie i zamkną się w obrębie Massawy.

Gabinet Rudiniego ma być przetworzony.

We Francyi p. Méline poprzenosił lub pouwalniał ze służby 128 prefektów, podprefektów i radców prefektury, oczywiście z dążnością antirepublikańską.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„ZACZEKAJCIE!“

Katechizm zalicza zatrzymanie zapłaty do kategoryi grzechów ciężkich. Grzech ten, niestety, w naszych stosunkach społecznych i ekonomicznych zaczyna być zjawiskiem codziennem. Od kilku miesięcy pracownicy kolei Nadwiślańskiej otrzymują pensyę z kilkotygodniowem opóźnieniem. To samo bywa w innych instytucyach. Nauczyciele szkół ludowych np. skarżą się za pośrednictwem fejletonisty *Birż. Wied.*, że muszą na swoją lichą pensyę (130—150 rs. rocznie) czekać po pół roku, że nigdy nie wiedzą, kiedy, w jakim terminie będzie im wypłacona, na zapytanie zaś wiecznie otrzymują jedną odpowiedź: „będzie wam wypłacona w swoim czasie.“ W tym wszakże wypadku jest przynajmniej jakaś przyczyna wyraźna, jakkolwiek niezasługująca na pobłażanie. Oto szkółki otrzymują skromną zapomogę co rok w czerwcu, lipcu lub sierpniu. Stosownie do tych terminów, ściśle nieokreślonych, wypłacane są pensye nauczycielom. Co do kolei Nadwiślańskiej, nie widzimy żadnych okoliczności, usprawiedliwiających zwłokę. Jest to bowiem instytucya zasobna, posiadająca sporo gotowizny w każdej chwili.

Fakt ten można byłoby uważać za przejściowy, wynikający z jakichś nieporządków, chaosu chwilowego, gdyby tylko zdarzył się w jednem przedsiębiorstwie. Niestety, widzimy coraz więcej podobnych przykładów we wszelkich przedsięwzięciach zarobkodawczych, nawet śród osób prywatnych. Im zasobniejsza jest instytucya lub jednostka, tem skłonniejszą bywa do lekceważenia terminów wypłaty należności pracownikom. Ludzie pracujący czy to „z wolnego najmu,“ czy na godziny, czy też od sztuki lub wreszcie pobierający stałe płace miesięczne, nie zawsze mogą być pewni, że w terminie oznaczonym przez zwyczaj lub prawo, otrzymają swoją należność.

Nieakuratność w terminach wypłaty nie jest zaliczana przez zarobkodawców do grzechów. Praca tych rzesz, na których istnienie i rozwój przedsiębiorstwa oparte, to nie weksel, wymagający zrealizowania w dniu oznaczonym. — Zaczekajcie! Wypłaty muszą iść właściwym trybem. „Właściwy tryb“ w danej instytucyi działa opieszale, bo dla oszczędności kasa i dział buchhalteryjny nie są obsługiwane dostateczną liczbą ludzi. Wypłata należności musi tedy iść powoli.

I jakież są rezultaty tej opieszałości? Oto pracownik, nie otrzymawszy płacy na pierwszego, wpada odrazu w ciężkie kłopoty i opały. Gospodarz domu naciska o komorne, krawiec, szewc, właściciel sklepu z artykułami spożywczymi przysyłają rachunki i w końcu odmawiają kre-

---

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

Nie jestże to, szanowni czytelnicy, wielka, olbrzymia niesprawiedliwość to tułactwo po turmach, więzieniach i etapach tego człowieka niewinnego, który nic złego nie popełnił? „Winien“ tylko tyle, że nawet w ciężkiej próbie, niedoli, cierpieniu, hańbie pozostał wiernym swojej miłości, swemu obowiązkowi, przysiędze, złożonej przed ołtarzem!

Człowieka, który prócz dobrego nic nigdy nie zrobił, zamknięto z zabójcami, mordercami, włóczęgami, których przeszłość Bóg wie, co w sobie kryje!

Czy ten Choroszko nie robi na was wrażenia chorego, leżącego śród trupów?

— No, a dalej co będzie?

— Dostanę się do Korsakowska — władza obiecała dowiedzieć się tam, czy niema mojej żony. Ale chociaż ona może tam jest, wszystko jedno — powiozą mię do Aleksandrowska. Tam zaaresztują i...

Przy tych słowach głos mu zadrżał.

— Jeżeli władza tamtejsza wyda rozporządzenie, że mogę przebywać razem z żoną, wtedy wyślą mię do niej.

— Etapem?

— Tak, etapem.

— Z zesłańcami-katorżnikami?

— Z nimi.

W Aleksandrowsku teraz jeszcze zima. Potem zaczną się roztopy wiosenne.

Znowu turma, towarzystwo „potępionych,“ podróż pieszo przez tajgę.

Kiedyż ten nieszczęśliwy ujrzy swoją żonę!

Czy ujrzy ją?

„Jeżeli władza tamtejsza pozwoli przebywać razem...“

— Napewno, pozwoli!

— Ach!..

Choroszko milczał przez chwilę, jak gdyby nabierał odwagi i nagle zadał mi pytanie, szybko wymawiając słowa. Jakiś dziwny ton zabrzmiał w jego głosie:

— Panie wielmożny, czy pan zna porządki sachalińskie?

— Trochę. Słyszałem, czytałem. A o co idzie?

Ale na chwilę odważny Choroszko znowu stracił śmiałość, jak ślimak schował się do swojej skorupy.

— Nic... Tak... Nic...

— O cóż chciałeś zapytać? Nie bój się, pytaj... O cóż to chodzi?

— Nic... Tak sobie... Nic... Proszę mi wybaczyć natręctwo...

Tym razem nie udało mi się dowiedzieć, o co chciał zapytać Choroszko.

Co tak strasznie niepokoiło i męczyło jego duszę zbolałą?

Jak go traktuje katorga?

Jakiś Achmet-Ohły, który na pytanie, za co skazany, odpowiada: za rozbój, ten Achmet-Ohły nie może słuchać imienia Choroszki bez śmiechu.

Cała twarz mu się zmienia. Od oczu, od kątów ust około nosa promieniami rozbiegają się zmarszczki. To jest uśmiech.

— Kobiety lubi, bardzo, bardzo kobiety lubi!

— Człowiek politowania godzien!—mówi katorga.

A włóczęga Iwan o twarzy cynamonowej, na której niema zmarszczek, lecz jakieś szczeliny i fałdy, z zimnem, pogardliwem spojrzeniem, stary bywalec, który zdeptał tajgę, zna rózgi i baty, sceptyk, który widział różne rzeczy i różnych ludzi, robi minę lekceważącą. Jego chłodne, spokojne oczy wyrażają jeszcze większą pogardę:

— Słodki dyabeł, obłudnik! Sumienie ruszyło.

— Jakto sumienie?

— A tak, sumienie. Razem dziecko

dytu. Grozi „eksmisya," nędza i głód. Pozostaje tedy jedyny ratunek: kredyt lichwiarski. Pracownik w ciągu kilkotygodniowej zwłoki w wypłacie pensyi czy zarobku, zadłuża się, płaci procenty od gotówki i od wszelkich artykułów, branych na kredyt. Odsetki te dochodzą w krótkim czasie do wysokości połowy zarobku miesięcznego. Lichwa „włazi na pensyę," a pracownik z tego powodu otrzymuje „złą notę." „Musi być „nie dobrego," skoro pensya mu nie wystarcza. Hula zapewne, żyje nad stan, a gdy panuje nieład w jego życiu, musi być nieład i w pracy. Taki człowiek nam niepotrzebny. Możemy z setek kandydatów wybrać innego."

Tak jest karany pracownik za niekuratność... swojej instytucyi zarobkodawczej! Nie dość, że pobiera on płacę, niewystarczającą na najpilniejsze potrzeby, że skutkiem tego nieraz wyrzeka się lekarstwa dla siebie, jeszcze i tę płacę otrzymuje w terminie niewłaściwym, więc wpada w ruinę lub w sieci lichwiarskie i za „rozrzutność" jest karany pozbawieniem posady.

Rzucamy światło na to zjawisko znamienne w nadziei, że je dostrzegą ci, którzy stojąc na wyżynach swych interesów, nie mogą dojrzeć, co się dzieje na nizinach pracy, skąd powstaje i wznosi się gmach rozwoju i powodzenia możnych.

LISTY PETERSBURSKIE.

Sprawa polska w prasie rosyjskiej. — Zruszczenie, czy odpolszczenie? — „Alarmiści polonizmu." — Język polski. — Kosztowność nauki agronomicznej.— Nieznana forma pracy i zarobku.

Polska sprawa na szpaltach dzienników rosyjskich weszła w nową fazę. Po cytatach wynurzeń pism polskich, z których największą uwagę zwróciły *Słowo* i *Kraj*, po wypowiedzeniu wniosków samodzielnych z powodu głosów z nad Wisły, przyszła kolej na polemikę prasy rosyjskiej. Przedewszystkiem stoczono spór o „rusyfikacyę." *Nowoje Wremia* w odpowiedzi *Nowostiom* pisze w tej sprawie: „To, co Polacy nazywają zruszczeniem, dotyczy wyłącznie gubernij kraju północno-zachodniego i południowo-zachodniego i w rzeczywistości nie było niczem innem, jak samoobroną przeciwko energicznemu naciskowi polonizmu na te odwiecznie rosyjskie gubernie, spolszczone w części jeszcze przed upadkiem Polski, ale bardziej w stuleciu bieżącem. W guberniach tych właściwy żywioł polski liczebnie jest nieznaczny, ale ze względu na swe stanowisko, pomimo nieustającej do ostatniej chwili piosenki o ucisku rosyjskim, żywioł polski panował tutaj nad ludnością rosyjską i trzymał ją w silnych rękach przy pomocy kościoła, księdza, szkoły, kapitału itd., krok za krokiem poddając ją polonizmowi. Nasza t. zw. polityka „rusyfikacyjna" była zaledwie słabem przeciwdziałaniem temu naciskowi, a jeżeli miała jakiekolwiek dążenia agresywne, to nie w znaczeniu zruszczenia (ponieważ ruszczenie Rosyan byłoby bezcelowem), lecz tylko w znaczeniu odpolszczenia. Ale i te dążenia w większości wypadków pozostały tylko jako *pia desideria.*"

Na te wywody *Nowosti* ku swojej obronie powołały logikę: „Przyznajemy, że nie spodziewaliśmy się takiego nagłego zmniejszenia zadania rusyfikacyi ze strony gazety, od lat wielu usilnie ogarniającej tem zadaniem całe Królestwo Polskie. Przecież gdyby szło tylko o „zdepolonizowanie" ludności rosyjskiej w kraju Zachodnim, jak twierdzi gazeta, to nie byłoby całej kwestyi polskiej, a więc nie byłoby żadnych podstaw do utrzymania odosobnienia kraju Nadwiślańskiego, którego główna ludność jest polska." Twierdzenie przeciwniczki, iż „zaprowadzić w kraju polskim ogólno-rosyjskie instytucye ziemskie i miejskie, byłoby oddać rosyjski kraj Zachodni na pastwę polonizmowi," *Nowoje Wremia* również pobiło przy pomocy logiki: Według *Nowosti*, w dziesięciu guberniach kraju Zachodniego żywioł polski liczebnie jest nieznaczny. A przecież w instytucyach miejskich i ziemskich główną, decydującą rolę odgrywają żywioły liczebnie przeważające na danej przestrzeni. A więc jakim cudem „nieznaczny liczebnie" żywioł polski mógłby przy nowych instytucyach otrzymać przewagę nad „panującą ludnością rosyjską?" *Nowosti* zapewniają, iż zjednoczenie w sferze administracyi i zarządu jest bardzo ponętne tylko dla „alarmistów polonizmu," bo przy takim zarządzie „nie byłoby żadnej przeszkody do ostatecznego pochłonięcia przez polonizm narodowości rosyjskiej, zamieszkującej 9 gubernij zachodnich, a nawet dalej na wschód, do Smoleńska i Kijowa włącznie.

„O ile nam wiadomo — odpowiada na to *Now. Wr.* — ci, których gazeta nazywa „alarmistami polonizmu," zawsze byli zawziętymi przeciwnikami ujednostajnienia zarządu administracyjnego i społecznego, z obawy, ażeby narodowość rosyjska nie pochłonęła polskiej i nie zniszczyła polskich tradycyj narodowych. „Alarmiści polonizmu" — to ci nieprzejednani, od których, przeciwnie, spodziewamy się protestów przeciwko wszelkiemu zbliżeniu na zaleconym przez nas gruncie." Gazeta zaznacza, że jedyne pismo polskie, *Kraj*, wydawane po za obrębem Królestwa Polskiego, nie korzystało dotąd z dostatecznej popularności śród inteligencyi polskiej z powodu przekonań prawie takich samych, jakie wypowiadało *Nowoje Wremia* od samego założenia, a które obecnie uważać należy za ustalone prawie w całej prasie rosyjskiej. Te same zapewne przekonania dyktują gazecie przez nas cytowanej zachętę, skierowaną do „rozmaitych żywiołów społeczeństwa polskiego," ażeby uczyniły nie możliwem dalsze istnienie „alarmistów," taką bowiem drogą osiągnąć można „wewnętrzne zjednoczenie z Rosyanami."

Szkoda tylko, że *Nowoje Wremia* nie podaje dokładnie sposobów wytępienia owych „alarmistów polonizmu"; możeby „rozumne żywioły społeczeństwa polskiego" skorzystały z życzliwych wskazówek.

Łamigłówką niełada jest język polski dla niektórych dzienników rosyjskich. Ciekawe i charakterystyczne uwagi w tej materyi wypowiadają *Peterb. Wiedomosti:* „W społeczeństwie polskiem jest rozpowszechnione mniemanie, że wobec dziś istniejącego systemu nauki języka polskiego i literatury polskiej młodzież do pewnego stopnia traci swą indywidualność. Dlaczego jednak żaden z publicystów rosyjskich tej opinii nie zaprzecza, dlaczego nie dowiedzie np., że wykład języka polskiego i literatury polskiej w języku rosyjskim jest niezbędny w interesie państwowości rosyjskiej i że taki wykład

---

mordowali, więc idzie do niej, bo go sumienie dręczy.

— Dość tego kłamstwa!

— Po co mi kłamać? To ty kłam sobie, jeżeli ci czas pozwala. Znam ja i widziałem tych czałdonów. Żeni się z drugą i pełza koło spodnicy. Jest na usługi damy. Damie dziecko stanęło kością w gardle, więc je udusili, żeby jej było znośnie. Cukierek!

I w tonie mowy, i w spojrzeniu starego włóczęgi tyle było pogardy dla czałdonów, dla ich uciech życiowych, przywiązania do żony, domu i dzieci!

— Dyablil!

* * *

Była siódma wieczorem. Pod zwrotnikiem już ciemno.

Chodziłem po pokładzie, napawałem się widokiem gwiazd, które iskrzyły się, mrugały i drżały w oceanie gładkim jak lustro, spokojnym i śpiącym.

— Wielmożny panie!

Z kąta wyszedł Choroszko, który widocznie czekał na mnie.

— Wielmożny panie! Proszę mi wybaczyć, na miłość Boga, za to natręctwo... Wielmożny panie, przepraszam...

— Ale cóż to? O co idzie?

— Sił mi nie stało. Wielmożny panie, proszę mi wybaczyć, że się ośmielam...

I zadał mi to pytanie, które męczyło go, szarpało, świdrowało jego duszę.

— Wielmożny panie, przepraszam, na sumienie proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że na Sachalinie kobieta samotna nie może mieszkać?

Paliło go to pytanie jeszcze od pierwszego wieczora, gdy „zaaresztował się."

Ludzie, w których koło wpadł, rozumie się zapragnęli wiedzieć, czy „na długo skazany," a dowiedziawszy się, że wyruszył do żony, trochę się pośmieli, trochę pożałowali; włóczęga zaś, który uciekł z Sachalina, tylko zapytał:

— Czy ładna ta twoja dama?

Choroszko potwierdził.

— No, jeżeli ładna — to do pisarza!

Choroszko przeczył całą siłą duszy.

— Ona nie taka.

Ale włóczęga roześmiał się:

— Ona nie taka, ale oni tacy. Natychmiast jak tylko kobieca partya przychodzi, pisarze najpierw biorą do siebie na usługi najładniejsze...

— Moja żona nie pójdzie na to.

— Jeżeli nie pójdzie do pisarza na usługi, to musi zgodzić się na pożycie z pierwszym lepszym osiedleńcem. To się nazywa wspólne pożycie. A jeżeli i na to się nie zgadza — w więzieniu musi siedzieć. Tak być musi. Uwalniaj się, póki czas!

— Czyż tak jest rzeczywiście?

Oto, co męczyło i przytłaczało biednego Choroszkę.

— Nie doczekawszy się jeszcze odpowiedzi, chwycił się za głowę.

— Boże, męczarnie takie zniosłem, rodzinę porzuciłem, w turmach na poniewierce tyle czasu spędziłem — i cóż? Ech, i na cóż te męczarnie! Wszystko napróżno!..

Pocieszałem go, jak mogłem.

Mówiłem, że to przesada, że na Sachalinie można siebie ustrzedz, obiecałem po przybyciu na ląd poszukać jej, ucieszyć wiadomością, że mąż przybył, przyrzekłem postarać się, ażeby mu pozwolono ze mną pojechać do Aleksandrowska, żeby nie wysyłano go etapem, lecz krótszą i lepszą drogą.

— Ech, co mi tam etap! Dużo szedłem, dojdę i tam... Tylko ot to...

Starałem się pocieszyć, uspokoić biedaka, ale powiem szczerze, w duchu myślałem:

— Oby prędzej pozbyć się go!

Co ja mogłem powiedzieć człowiekowi, który był tak blizko prawdy?

(C. d. n.).

wcale nie krępuje ani nauczycieli, ani uczniów polskich, nie odbija się na rozwoju umysłowym dziatwy i nie utrudnia rozkwitu piśmiennictwa polskiego?“ Pytanie zaiste dziwne, skoro odpowiedź może być prosta, oparta na logice i doświadczeniu pedagogicznem. Co zaś do uwagi, że system obecny nie odbija się na rozwoju umysłowym dziatwy i nie utrudnia rozkwitu piśmiennictwa polskiego, dodać możemy, że to świadczy tylko o żywotności i zasobności duchowej społeczeństwa.

Ale wróćmy do dalszego wątku rozmyślań p. Nabludatiela: „Przyznanie odrębności narodowej, etnograficznej i cywilizacyjnej wkłada na rząd obowiązek wystrzegania się tego wszystkiego, co może być uważane za zamach na tę odrębność. Ileż rozumu i przenikliwości potrzeba dla niemylnego oznaczenia warunków, śród których narodowość powinna nietylko istnieć, lecz i rozwijać się! Dla prawidłowego rozwoju literatury narodu należy pilnie baczyć na jego język. Stąd wynika konieczność wytknięcia ściśle i zupełnie bezstronnie granic, po za które język państwowy gwałtownie wdzierać się nie powinien. Nie uczyniwszy tego, rząd może ściągnąć na siebie posądzenia o dążenie do rusyfikacyi, całkiem bezcelowej i szkodliwej, jeżeli wkracza ona w sferę stosunków społecznych miejscowych. Lecz z drugiej strony prawo języka państwowego, jego panowanie w granicach niezbędnych dla jedności państwa, musi być zabezpieczone bacznie i stanowczo. Im prędzej i głębiej ustali się w masach narodu polskiego świadomość, że rząd w tej sprawie nie może uczynić żadnych ustępstw, lecz jednocześnie zabezpieczy polskie odrębności narodowe, tem szybciej wygładzą się szorstkości, istniejące w stosunkach polsko-rosyjskich, tem chętniej i serdeczniej podąży ludność polska do jedności z Rosyą.“

Ileż tu sprzeczności i niejasności! Z jednej strony rusyfikacya jest bezcelowa i szkodliwa, gdy wkracza w sferę stosunków społecznych miejscowych; z drugiej — panowanie języka państwowego w granicach „niezbędnych,“ oraz pogodzenie się z tem, że rząd żadnych ustępstw w tej mierze uczynić nie może. Ten ostatni warunek jest najjaśniejszy i najbardziej zrozumiały dla Polaków. Niejasne są natomiast granice „niezbędne.“

Sprawa wykształcenia specyalnego niemal z każdym dniem staje się żywotniejszą i pilniejszą. Prasa niejednokrotnie roztrząsała ją wszechstronnie, ogół zaś, korzystający z usług oświaty, utyskiwał i utyskuje ciągle na jej nieprzystępność, nietylko ze względu na małą stosunkowo liczbę szkół, lecz i z powodu także wpisów drogich. Stąd wynikają fakty logiczne, które podaje *Syn Otiecz.* Oto w gub. Twerskiej, w majątku p. Mamontowa, są przyjmowani praktykanci, którzy pragną zapoznać się z gospodarstwem wzorowem. Kandydat oprócz zobowiązań dość ciężkich, wnosi z góry opłatę półroczną w sumie 750 rs., jeżeli chce mieć pokój osobny, albo 450 rs., jeżeli zgadza się na kwaterę ogólną. Ci, którzy wnoszą opłatę z góry za cały rok, mają ustępstwa 10%, tj. zamiast 1,500 rs., płacą 1,350! Zarząd jednak ma prawo wydalić praktykanta, bez *wyjaśnienia powodów*, ze zwrotem... połowy opłaty, pobranej z góry. Kto pragnie tylko obejrzeć tę cudowną gospodarkę wzorową, musi za ów zaszczyt zapłacić 200 rs. i prócz tego za utrzymanie i pokój osobny po *dziesięć rubli* na dobę lub po *pięć* w pomieszczeniu ogólnem. Płacić należy za pięć dni z góry; chociażby ktoś nawet potrafił wszystko obejrzeć w ciągu jednej doby, musi ponieść koszt utrzymania pięciodniowego, czyli wydać na jedną dobę 25—50 rs.

Ci praktykanci, którzy w owych dobrach obejmują służbę i pracują tam po 9—11 godzin na dobę, muszą za tę pracę płacić właścicielowi 600—700 rs. Czyż nie jest to cudowna gospodarka naprawdę, warta obejrzenia? Jeżeli jest istotnie sporo naiwnych, którzy tam jadą po to, ażeby ich bezczelnie zrabowano, to zapewne główną pozycyą dochodu z wzorowego majątku są sumy, wnoszone przez młodzież, żądną wiedzy. Dobra te zasługują na uwagę nietylko rolnika, ale ekonomisty i socyologa. Mogą oni tam znaleźć nową formę bytu: Oto dawniej właściciel ziemski korzystał z pracy darmej robotnika pańszczyźnianego; dzisiaj robotnik, więcej umysłowo rozwinięty, niż chłop, lecz zapewne szlachcic, zaprzęga się w jarzmo poddaństwa, bo według przepisów miejscowych, traci zupełnie swą wolę i nietylko oddaje darmo swą pracę 9—11-godzinną, lecz jeszcze dopłaca do niej rocznie rs. 600—700! Jestem pewny, że jaki wybitny uczony ekonomista chętnie zapłaciłby 200 rs. za prawo wstępu do tych dóbr i 50 rs. za pięć dni utrzymania, żeby tylko wolno mu było zbadać tę formę pracy i zarobków należycie. Byłby to ciekawy i cenny materyał do rozdziału ekonomii politycznej.

Szkoda, że pismo, z którego te fakty zacytowaliśmy, nie zdobyło się na dane statystyczne: ilu też praktykantów korzystało z tak drogocennych wskazówek agronomicznych. Można byłoby stąd wyciągnąć wnioski o poziomie i rozwoju umysłowym pewnej grupy społeczeństwa, osiadłej na roli. Bo kto chce rzetelnie czegoś się nauczyć, kto jest o tyle rozwinięty, że wie, gdzie tej nauki szukać należy, ten rozporządzając nawet mniejszą sumą, niż wymaga zarząd dóbr p. Mamontowa, pojedzie do Niemiec, Belgii, Francyi lub na północ skromną, ubogą: do Szwecyi, albo Finlandyi i tam nauczy się siać i zbierać plony na lichych gruntach kamienistych, tam się nauczy pracy intensywnej, wytrwałości i cierpliwości, tam wreszcie posiądzie specyalną wiedzę prawdziwą i doświadczenie praktyczne.

Państwo rosyjskie na swych olbrzymich, różnorodnych i bogatych obszarach posiada dotąd zbyt mało szkół i ferm wzorowych. Gdyby ich liczba i zakres odpowiadały istotnym potrzebom ludności, pracującej na roli, nie byłoby takich trudnych do uwierzenia faktów, jak powyżej opisane, nie byłoby rabunku, który dlatego wyłamuje się z pod prawa i kary, że się dzieje nie w lesie na gościńcu, lecz w folwarku, oświetlonym elektrycznością, posługującym się telegrafem i parą do ogrzewania. Szkół rolniczych tanich, przystępnych, z fermami wzorowemi jak najwięcej potrzeba! To zadanie najpilniejsze, które powinno wejść na porządek dzienny wszelkich Towarzystw rolniczych. One, jako bezpośrednio stykające się z potrzebami życia, powinny zająć się szczerze wprowadzeniem w czyn wszelkich projektów w tej mierze, od lat wielu tułających się po biurkach, stołach i szufladach.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Dzielni obrońcy Galicyi. — Stronnictwo *Przeglądu Wszechpolskiego.* — Czego chce Imć pan Jastrzębiec? — Jakie były moje dążenia? — O ile skargi na nędzę ludu w Galicyi są słuszne?

Ostatnimi czasy krakowska *Nowa Reforma*, „jedno z pism warszawskich,“ szukające na gwałt podstawy materyalnego istnienia i *Przegląd Wszechpolski*, urządziły wspólnie amatorską wycieczkę przeciwko korespondentowi *Prawdy* o przesadne przedstawianie stosunków autonomicznych i położenia Galicyi. Pomijam metodę polemizowania, polegającą na przekręcaniu słów i myśli, niedomawianiu i fałszywych wnioskach, boć to przecie o nic więcej nie idzie, jeno o pobicie przeciwnika; daleko ważniejszą jest chwila wybrana do tego, chwila dziwnego nastroju, tak doskonale nadająca się do łowienia ryb w mętnej wodzie.

Winienem w tej sprawie nie moim pogromcom, ale czytelnikom *Prawdy*, kilka słów wyjaśnienia.

O „jednem z pism warszawskich“ mówić wcale nie będę, bo musiałbym doszukać się złośliwości rozmyślnej i wykryć tajemnice, które należą do sądów. Ale *Nowa Reforma* — Boże wielki! — kogoż ona teraz może reformować, ona, która żyje tylko dlatego, ażeby wynaleźć kogoś, ktoby jej ułatwił życie. Starzy dzielni jej przewodnicy: Mieczysław Pawlikowski, a nawet Romanowicz z pod dawnego sztandaru, Asnyk, nie obawiali się tego, co o nas powie Europa, lecz walczyli śmiało z rozwielmożnioną stańczykioryą, zwyciężali ją, nie wahając się odsłonić ran społecznych. Dziś *N. Reforma*, jak stara zalotnica, która co dnia kona i skonać nie może, uśmiecha się do wszystkich o miłosierdzie i pobłażliwość, gotowa chwalić nawet przybocznych sekretarzy p. marszałka — że tak powiem grzecznie.

Najdziwaczniejsze stanowisko zajął *Przegląd Wszechpolski.* Imć pan Jastrzębiec, jako prawy szlachcic, powiada: „nie znam korespondencyi, o której mowa,“ ale — hejże na Soplicę! Posłyszał on, że gdzieś się biją i jako szlachcic zadzierzysty, chociaż nie miał jeszcze czasu dowiedzieć się, o co się biją, stanął gotów do bitwy i krzyknął: hola! Beze mnie nie będziecie walczyć — szach, mach i za Domejkę podciął wąs Dowejce. Przyznaje on wprawdzie, że do niedawna krytyka galicyjskich stosunków w niektórych pismach warszawskich była nawet „pożytecznem uzupełnieniem panegirycznych opisów w prasie zachowawczej“ — ale teraz zupełnie inaczej! Teraz krytyka „odbiera wiarę w żywotność narodu i w lepszą jego przyszłość“ — ani mniej, ani więcej. Doprawdy, nie byłby wart życia wielki naród, gdyby pochwały zdolne były zakryć mu oczy na złe, a wady w życiu publicznem odbierały wiarę w żywotność i przyszłość. Nie o to zresztą chodzi. Imć pan Jastrzębiec wierzy zapewne, że tak jest, ale jako człowiek, który sam dużo grzeszył i grzeszy „ciętym pesymizmem,“ przez chęć gwałtowną odzyskania równowagi stracił ją — i ukłonił się niezgrabnie, nie w porę i nie w stronę właściwą. Mówiąc krótko, wystąpienie Imć pana Jastrzębca w takich warunkach, gdy nawet nie wie, o co chodzi, jest nietaktem, lekkomyślnością i uczciwemu publicyście nie przystoi. Wie on dobrze, jaki jest cel i zadanie wszelkiej opozycyi; wie dobrze, jaką rolę odegrała opozycya i krytyka w rozwoju i poprawieniu stosunków państwowych i społecznych wszędzie i że tam jest najgorzej, gdzie jawnej opozycyi niema; twierdzenie jego przeto, że krytyka odbiera wiarę w żywotność narodu, jest niedojrzałem i powierzchownem. Krytyka najostrzejsza byłaby niegodną poważnego umysłu zabawką, gdyby chciała bawić tylko lubującą się w ostrych przyprawach publiczność, ona musi z innej strony oświetlić przedmiot. Współcześni uważali Voltaire'a za drażniącego szydercę, a historya uznała za dzielnego szermierza w sprawie reformy stosunków społecznych. Krytyki przeto spraw społecznych nie należy mierzyć miarą własnego podrażnienia. Wszyscy nie mogą patrzeć pod tym samym kątem i to właśnie jest jedną z największych przyczyn postępu ludzkości. Imć pan Jastrzębiec wie o tem, że jego działalność uważają także za wielce szkodliwą — ja do tych nie należę — że w niej

wiele błędów dopatrzyć można, że on należy także do tych, którzy walczą na ostre i dają się unosić temperamentowi, powinien był przeto być pobłażliwym dla tych, których głos niezależnym jest od ilości wpływającej prenumeraty, od uśmiechu marszałków i którzy nie jedzą chleba hojnie rozdawanego chwalcom i obrońcom. Pióro moje dotykało wadliwego ustroju tej lub owej instytucyi, ale nie podkładało pod nie dynamitu. Były i dla mnie świętości, których krytyka nie dosięgła: nie porywałem się nigdy z motyką na sprawy szląskie, nie osłabiałem fundamentów Towarzystwa szkoły ludowej (w Krakowie), nie rzucałem błotem na przeszłość. Ale Imć pan Jastrzębiec nic o tem wiedzieć nie chce. On wolał stanąć za plecami przekupniów politycznych i pocisk rzucić najniezręczniej.

Gdyby był czytał moje korespondencye przez dłuższy czas, byłby niezawodnie treść ich pochwycił i przekonał się, że:

dążyłem do równomiernego rozkładu ciężarów publicznych, a w szczególności do ulg dla rolnictwa, przemysłu i rzemiosł;

żądałem popierania oświaty przez mnożenie liczby szkół, polepszenie bytu nauczycieli ludowych, ułatwienie młodzieży dostępu i uczęszczania do szkół średnich przez obniżenie czesnego i zniesienie przymusowego umundurowania;

nawoływałem, aby sprawa regulacyi rzek, zabudowań potoków górskich i zalesień była w jak najkrótszym czasie załatwioną;

ażeby przyczyny, wywołujące nędzę ludu, wykryto i usunięto;

ażeby zaprowadzoną była niezawisła kontrola nad organami wykonawczymi;

ażeby istniało takie prawodawstwo i wykonanie, abyśmy w kraju naszym nie mieli rządów bez ustaw, ani ustaw bez rządów.

Nie jest to program ani rewolucyjny, ani zdążający do osłabienia wiary w żywotność, ani tem bardziej awanturniczy. Niechże Imć pan Jastrzębiec czyta wszystko, co napisałem, a przekona się łatwo, że nigdy nie starałem się odebrać nikomu „wiary w żywotność narodu“ moją działalnością publicystyczną i że nie w ten sposób odbiera się wiarę.

Nie podoba się Imć panu Jastrzębcowi wogóle „przesadne utyskiwanie na nędzę ludu“ i nie dziwię się temu wcale; ono nie podoba się także ogromnej większości oportunistów, tj. całemu stronnictwu rządzącemu obecnie w Galicyi. Na szczęście nie jestem bynajmniej w tej krytyce odosobniony. Zły stan rzeczy w pewnym kraju nie dowodzi jeszcze bynajmniej, abyśmy „nie byli warci nietylko życia, ale nawet samorządu,“ a krytyka takiego stanu jest obowiązkiem publicznym pisarza. Jeżeli nic więcej nie zdoła zrobić, tylko wskazać nieprawidłowości, to już zadanie swoje spełniła. Przedewszystkiem nie należy prawa krytyki pozostawiać tylko samemu sobie.

Wracam do nędzy ludu w Galicyi. Jakkolwiek Jastrzębiec jest gorącym wielbicielem ludu i dotychczas jeszcze „podporządkowuje“ interesa wszystkich warstw jego interesom, śmiem mu otwarcie powiedzieć, że położenia jego ekonomicznego, że tak powiem, na gruncie nie zna, a skalę porównawczą posiada bardzo małą. Dobrobyt ludu jest i musi być podstawą wszelkiej pracy nad nim i dla niego; nędzarz o pożytecznej pracy nie myśli. Dlatego też poprawienie stanu ekonomicznego ludności galicyjskiej stało się pierwszorzędnem zadaniem rządu i sejmu. Jest to sprawa bardzo skomplikowana, a jednak badając ją, nie trudno znaleźć *w niej* źródło tego niezadowolenia, jakie całą Galicyę wzdłuż i wszerz przebiega. Widmo tego niezadowolenia błyszczy nieraz krwawemi barwami. Niedawne wybory, pomimo ostrożności, a nieraz gwałtu, przyniosły kilkadziesiąt procesów i blisko tysiące osób posadziły na ławie oskarżonych. A przecież p. Jastrzębiec powinien był wiedzieć, że to nie o kandydatów były walki, ale w obronie haseł i pragnień.

Ostatnia kadencya sejmu była dążeniem do reformy gminy i ustawy drogowej, czyli w istocie do zmniejszenia nędzy. A więc nędza i niezadowolenie są, skoro praca sejmowa dąży do zmniejszenia lub uchylenia złego stanu. Szczepanowski nie stworzył nędzy w Galicyi, tylko ją wykazał — i to jest wielka jego zasługa, bo od tej chwili reformy poszły szybkim krokiem.

Zresztą, nie jeden Szczepanowski zwracał na nią uwagę. Gdy w r. 1892 rozpoczęła się emigracya ludności z Galicyi wschodniej, dr. Tadeusz Pilat, nie warchoł bynajmniej, ale profesor uniwersytetu, faktyczny prezes Towarzystwa rolniczego i szef biura statystycznego, zajął się rozważaniem przyczyn emigracyi. Przyszedł on do wniosku, że „emigracya dobrowolna znaczniejszej liczby ludności z miejsc rodzinnych do innych okolic kraju lub do innych krajów ma swoją głębszą przyczynę *zawsze*, choć czasem nie wyłącznie *w stosunkach ekonomicznych*. Tak uczy doświadczenie dawniejszych i nowszych czasów, czerpane nietylko z obcych, lecz także i z naszych stosunków. Rzeczy to zbyt znane, żeby potrzeba przytaczać świadectwa historyczne i przykłady z teraźniejszości na poparcie powyższego twierdzenia.“

Ażeby oszczędzić p. Jastrzębcowi czytania, streszczę kilka pozycyj z tej pracy. Przedewszystkiem na zubożenie ludności wiejskiej szkodliwie oddziałała ustawa 1 listopada 1868 r., dopuszczająca wolność obrotu własnością ziemską, skutkiem czego od tego czasu ilość gospodarstw włościańskich wzrosła w Galicyi wschodniej o 28%. W niektórych powiatach, np. Skałackim, posiadłości włościańskie niżej 1 morgi wynosiły 32% całości, do 3 mórg — 28%, do 5 — 11%, a trzeba pamiętać, że są to liczby z przed lat prawie 15; bliższych nie mamy. Na tak małych kawałkach niepodobna utrzymać bydła ani do uprawy, ani do nawożenia. Stosunki zarobkowe są fatalne; szczególnie w zimie i na wiosnę płacą zaledwie od 16—30 centów dziennie. Robotnik tylko w gospodarstwie wiejskiem znajduje zatrudnienie, „innych zajęć zarobkowych niema.“ Stąd też „ludność, żyjąca z zarobków, nie ma zasobów, któreby pozwoliły jej przeżyć rok nieurodzaju i staje się ofiarą lichwy, a obok tego czasem ciężarem pomocy publicznej.“

Mówiąc o nędzy ludu wiejskiego, mam przeważnie na myśli ludność Galicyi wschodniej, nie dlatego bynajmniej, ażeby te warunki, o których wspomniałem, nie były wspólne całej Galicyi, lecz że położenie ekonomiczne jej zależne jest także od ujemnych przymiotów osobistych ludności (brak przezorności, zapobiegliwości, lekkomyślność). Brak przemysłu domowego i fabrycznego, przeciążenie podatkowe i wiele innych przyczyn wpływa na coraz większe ubożenie ludności wogóle.

Nie są to bynajmniej rzeczy nowe, nieznane nawet Jastrzębcowi, który ekonomicznemi sprawami kraju widocznie mało się interesuje, ale składają się one razem na ten fatalny stan kraju, który się nazywa *nędzą*. Powiada on: że „polityka ugodowa i polityka abdykacyi“ są następstwem krytykowania teraźniejszego położenia i stanu Galicyi. Jest to twierdzenie wprost nielogiczne, bo przecież ci, którzy politykę ugodową i abdykacyi prowadzą (w Galicyi), istniejące położenie uważają za doskonałe, a do rozszerzenia i utrwalenia takiego stanu dążą. Do takich absurdów doprowadza przyjmowanie na siebie roli bakałarzy narodu i wiara we własną nieomylność.

Musiałem tych kilka słów napisać, ażeby przekonać czytelników *Prawdy*, jak mało warte, a często podszyte osobistym interesem są zarzuty polityków, prowadzących politykę kółek lub politykę — prenumeraty.

Cho.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Obywatele w literaturze.

P. Brzostowski wydał pierwszą część swych *Wspomnień* o Kraszewskim, doprowadziwszy je do nieszczęsnego procesu o mniemaną zdradę stanu i więzienia w Magdeburgu. Niewiele w jego książce znajdujemy nieznanych szczegółów, mimo to jest ona bardzo zajmująca, bo wskrzesza nam i stawia przed oczami człowieka, którego zasłoniły dymy kadzideł i kurzawa chwalb dla późniejszych bohaterów piśmiennictwa, który jednakże w tej chmurze nie zatonął i nieraz jeszcze wynurzy się z niej w całym blasku swych wielkich zasług. Z tych zaś promieni, z których składa się światło jego sławy, najjaśniej odbijać się będą zawsze te, które padną na tło naszego życia ich pozbawiono. Gdy w tej chwili myślę o Kraszewskim, mniej on mnie olśniewa jako powieściopisarz, bo wystąpiły po nim talenty w tej sztuce większe, ale jako obywatel literatury, którego nikt nie przewyższył. Należy bliżej objaśnić ten jego tytuł, bo on dziś nie ma ani zwolenników, ani kandydatów.

Co robią dzisiejsi autorowie podobnego rodzaju? Piszą dla zarobku, dla rozgłosu, wreszcie dla dogodzenia potrzebie wewnętrznej. Czynił to samo Kraszewski, ale on w swej różnostronnej działalności miał jeszcze jedno pole, którego nigdy nie zaniedbywał — pole straży nad rozumem, nad dobrem, nad uczciwością całego narodu. Nie można narzucać ludziom zadań, do których oni nie czują ani zdolności, ani ochoty, ale również nie należy ich stawiać na jednym poziomie z tymi, którzy te zadania spełnili. Dzisiejsi następcy i zastępcy Kraszewskiego zdają się mówić: my chcemy tylko pisać powieści, dramaty lub artykuły o sprawach bieżących, miejscowych; politykę, socyologię i filozofię życia społeczeństwa pozostawiamy innym. Mają oni najzupełniejsze prawo do takiego wyboru, ale ich znaczenie, ich zasługi zmniejszają się o wielkość tej abdykacyi. Pomimo całej różnicy, jaka zachodzi między twórcą cennych dzieł literatury a obrabiaczem powszednich interesów, w tym punkcie dadzą się oni porównać doskonale. Czyż Goethe, który nie był wcale ciekaw wiadomości o rozwoju Rewolucyi francuskiej i który nawet obojętnem okiem patrzył na sromotę i klęski swego narodu, zdeptanego i ujarzmionego przez Napoleona, czyż ów Goethe nie jest podobny w swych uczuciach obywatelskich do filistra, widzącego w całem życiu teraźniejszem i przyszłem swego społeczeństwa tylko własną mąkę lub futra, które wyrabia lub któremi handluje? Pierwszy powiada: co mnie obchodzą wszystkie rewolucye, przewroty polityczne, wojny, porażki i zwycięstwa? Ja śpiewam pieśni, które brzmią ze strun duszy mojej na cześć wiekuistego piękna. Co mnie obchodzą — mówi drugi — sprawy ogólne, cierpienia i nadzieje społeczeństwa? Ja dbam

o to, ażebym miał towar dobry i sprzedawał go wiele. Pierwszy jest doskonałym poetą, drugi doskonałym robigroszem, ale żaden nie jest obywatelem.

Kto nim jest? Rzeczywiście w całej literaturze europejskiej niewielu naliczyć można piastujących tę godność. Ale są tacy. Jednym z najznakomitszych jest np. w Rosyi L. Tołstoj. Dla uniknięcia nieporozumień, zastrzegam, że nie mówię tu o jakichś ewangelistach, którzy głoszą prawdy powszechnie wyznawane, ale o pisarzach, którzy po za swą sztuką i po za służbą w interesach codziennego pożytku myślą o najwyższych celach i przeznaczeniach swego narodu albo ludzkości. Czego w swych moralno-społecznych rozprawach uczy Tołstoj, to może być całkowicie lub częściowo paradoksalnem, dziwacznem, niedorzecznem, mimo to nawet najbardziej bezzasadne i fanatyczne jego wywody świadczą o potędze i wzniosłości jego ducha, o tym apostolskim nastroju, który większym jest w błędzie, niż inne umysły w prawdzie. Geniusz — że tak powiem — zwyczajny, stworzywszy szereg arcydzieł poezyi, usiadłby dumny na tronie chwały i przyjmował korne hołdy od swych czcicieli, darząc ich od czasu do czasu jakąś iskrą dogasającej siły. Tołstoj wyrzekł się tego przywileju i tej rozkoszy starych tryumfatorów, stanął na górze dla objęcia szerszych widnokręgów i zaczął z niej zsyłać swemu narodowi i ludzkości przestrogi, rady i dogmaty. On nie chce dogadzać chwilowym upodobaniom ogółu, dążeniom jakiegoś stronnictwa lub koła, nie przykrawa swej myśli i pracy do rachub nakładcy lub redaktora, lecz zarówno wobec głuchej puszczy, jak wobec słuchającej go rzeszy woła mocnym i nieustraszonym głosem o potrzebie wejścia na drogę, która, według niego, jedynie prowadzi do dobra i szczęścia. Czy droga ta jest prawdziwą i bezpieczną — to inna kwestya, w każdym razie on jest kapłanem i buduje przy niej świątynię, a nie sklep lub karczmę.

Kraszewski był duchem innej miary i natury, bardziej wpatrzonym w rzeczywistość i ściślej zamknięty w miłości dla swego narodu. Ale i on także nie zapomniał o powołaniu i obowiązkach tego obywatelstwa. Nie uważał zadania swego w literaturze za spełnione, jeżeli napisał szereg pięknych powieści, studyów naukowych, artykułów i korespondencyj o wypadkach bieżących dla wydawców warszawskich, lecz wychodził ciągle po za obręb warunków, naginających jego głos do pewnej skali, i z trybuny obdarzonego niezależnością posła roztrząsał wszelkie ważne sprawy w duchu owej starorzymskiej zasady, według której: *salus reipublicae suprema lex*. Przez lat wiele był on jak gdyby buchhalterem całego społeczeństwa — prowadził jego rachunki, zapisywał do księgi ogólnej wszystkie jego nabytki i straty, wskazywał błędy i sposoby naprawienia ich lub uniknięcia w przyszłości.

Pokolenia, które obecnie żyją, wykształciły swój charakter obywatelski na poezyi romantycznej i jej potomkach. Naszymi nauczycielami w tym względzie byli: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Goszczyński, Ujejski, a w dalszym rodowodzie tego klanu literatury — Kraszewski. Co w utworach tych mistrzów jest pięknem artystycznie, to pozostanie również jako wzory dla naszych potomków. Ale to, co w ich dziełach stanowi katechizm obywatelski, ze zmianą warunków, wymagań i przekonań zestarzeje się. Wówczas następne pokolenia zwrócą się po naukę do bliższych swych poprzedników, do nas, i z naszych prac czerpać będą pierwiastki dla swego charakteru. Otóż zachodzi pytanie: czy my odpowiemy tej ich potrzebie? Czy one nawet u tych autorów, którzy stanowią czoło literatury, znajdą pobudki, natchnienia, drgnięcia serc i błyski myśli pożądane, nadające ich życiu duchowemu podniotę, energię i kierunek? Zdaje mi się, że nie. Podobnej spuścizny, jaką romantyzm dał nam, my nie damy naszym potomkom. My im zostawimy tylko galeryę mniej lub więcej artystycznych obrazów przeszłości i współczesności w powieściach i dramatach, pasmo osobistych wzruszeń w pieśniach, łańcuch scen obyczajowych lub rozmyślań psychologicznych, słowem, pewną sumę poetycznego piękna. Wszystko to niewątpliwie będzie miało wartość dla piśmiennictwa, ale jeżeli nasze dzieci i wnuki wobec najtrudniejszych zadań publicznego życia zwrócą się po radę do swych ojców i dziadów, nie otrzymają od nich żadnej. Dowiedzą się od nich tylko, jak malować należy ważne wypadki dziejowe, jakie przy końcu dziewiętnastego wieku pojawiły się u nas typy, jak odczuwano rozmaite cierpienia i łaski losu, jak się ludzie wychowywali, kochali, żenili, jakie miewali z sobą starcia i zawiązywali stosunki, wogóle, według jakich wzorów wyszywali kanwę swego życia indywidualnego. Tych potomków naszych my nauczymy pięknie pisać, ale nie nauczymy ich — jakby powiedział Górnicki — zacnie myśleć i czuć. Odziedziczą po nas dorobek artyzmu, ale nie odziedziczą dorobku obywatelstwa. Dla nich nasza obecna literatura będzie przedstawiała widok krajobrazów podbiegunowych, nieraz pięknych i fantastycznych, ale lodowatych. Będzie ona zimną i martwą.

„Umarli szybko jadą“ — woła urągliwie dzisiejsza czereda społecznych Eskimów za odsuwającemi się w przeszłość ognistemi postaciami romantyzmu. Smutna i głupia szykana! To prawda, że ci marzyciele przyrośli do swego czasu, który ich z sobą uniósł od teraźniejszości, mającej nieznaną im i nieprzewidzianą przez nich dolę, ale nie odarł ich z uroku i godności wielkich obywateli w literaturze. Nieraz więc jeszcze będziemy wracali do nich myślą nie jako do instruktorów, ale jako do wzorów szlachetnego pojmowania swej misyi w społeczeństwie. Wraz z nimi przypomni się nam również Kraszewski.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

„ZWYRODNIAŁE MATKI.“

Antropologia kryminalna włoska rozszerza poszukiwania swoje na coraz dalsze pola. W tych badaniach jest przedewszystkiem dużo zapału, jeszcze zaś więcej bardzo powierzchownego rozumienia stosunków społecznych. Autorowie ślizgają się po wierzchu obranego przedmiotu, chociaż często zatrzymują się nad tematem wdzięcznym, który, opracowany należycie, byłby bardzo ciekawym przyczynkiem do poznania psychologii życia zbiorowego. Przynajmniej takie uwagi nasunęły mi się przy czytaniu książki Lino Ferrianiego *), prokuratora w Como, poświęconej rozbiorowi natury duchowej matek zwyrodniałych. Dziełko to pociągnęło mię ku sobie wprost swoim nagłówkiem. Rozczarowałem się jednak. Nieco cyfr statystycznych, dość niesystematycznie zestawionych, z wnioskami jeszcze bardziej powierzchownymi, kilka przykładów znęcania się matek nad własnemi dziećmi, obfite rady dokonania pewnych zmian w kodeksie kryminalnym, mianowicie obostrzenia paragrafów, karzących nieludzkich rodziców, i wreszcie powódź górnolotnych frazesów! Z żalem pewnym odsunęliśmy książkę na bok, zagadnienie jednak, podniesione przez autora włoskiego, pozostało w umyśle naszym.

Przy czytaniu dzieła Ferrianiego nasuwała się wciąż kwestya przezeń nierozwiązana, mianowicie, na czem polega zwyrodnienie uczuć macierzystych. Naturalnie, ogniwa krańcowe występują wyraźnie. Ale i tutaj nie zawsze sprawa jest prosta i jasna. Weźmy chociażby dwa przykłady z tych, które on nagromadził w pracy swojej.

Kobieta z wyższego świata, pochodząca z rodziny, która od wielu pokoleń odznacza się licznemi przywarami, tak dalece, że matka jej miała dawać obraz zupełnego zwyrodnienia uczuć macierzyńskich. Piękności niezwykłej, osoba ta nigdy nie wzbudzała dla siebie głębszej sympatyi. W charakterze jej były rysy odstręczające, w towarzystwie obawiano się jej, nawet nadskakiwano nie tyle dla jej piękności, ile z obawy, ażeby szyderstwem nie mściła się. Własne jej dziecko było dla niej przedmiotem nieustającego znęcania się podczas wybuchów złego i nawet dobrego humoru. Bywały chwile, w których obnażała ciało dzieciny, kłuła igłami i szpilkami, a gdy maleństwo zanosiło się od płaczu i bólu, udawała się do sąsiedniego buduaru, gdzie czekał ukryty kochanek.

Nie ulega wątpliwości, że mamy w tym razie przed sobą osobliwy okaz, należący do kategoryi zboczeń, którym Maudsley nadał nazwę: *le fou moral* — obłąkaniec zmysłu moralnego. Zwyrodnienie uczuć macierzyńskich osoby, której dzieje podaliśmy, jest tylko następstwem ogólnego jej wypaczenia uczuciowego, jako człowieka. Dama owa jest okrutną matką, ponieważ wogóle odznacza się charakterem okrutnym i pastwiącym się. Ferriani zapewnia nas, że władze umysłowe nie wykazały żadnego wypaczenia. Nie zmienia to postaci rzeczy, obłąkanie moralne bowiem zdarza się niezależnie od strony intelektualnej.

Jeszcze trudniejsza jest analiza drugiego przypadku, opisanego w książce kryminologa.

Rodzina wyrobnicza, pracowita, oszczędna, sumienna, małżonkowie są jeszcze w wieku bardzo młodym. Dzieci dwoje, jeden chłopczyk ma lat osiem, drugi siedem. Rodzice kochają starszego bardzo: był on pierwszy w szkole, za co spotykały go w domu pieszczoty i nagrody, którym towarzyszyły niezasłużone nagany młodszemu. Obchodzono się z nim w taki sposób, iż wreszcie ciężko zachorował. Wezwany lekarz, zbadawszy go, wyjaśnił rodzicom przyczynę choroby, dotychczas dla nich niezrozumiałą. To ich wzruszyło, zwłaszcza gdy na wyjaśnienie lekarza i na pocałunek matki chłopczyna wybuchnął płaczem spazmatycznym i przylgnął konwulsyjnie do jej szyi. Wypadek ten dokonał zupełnego zwrotu w usposobieniu rodziców. Myśl, że dziecko mogło umrzeć z zaniedbania i obojętności, napełniła ich nietylko skruchą, ale także chęcią odwetu za to na starszym synu, którego oskarżali o zbrodnię, popełnianą na młodszym. Wszelkie dowody przywiązania dostawały się odtąd tylko młodszemu, starszego zaś zaniedbano, później zaczęto karać i nawet pastwić się nad nim bez dostatecznego powodu. Bito go, mówiąc: przez ciebie umarłby braciszek! Młodszy, w którego sercu zachowała się niechęć względem dawnego współzawodnika, korzystał sowicie z takiego usposobienia rodziców, skarżąc się ciągle na starszego. Ponosił on wtedy karę doraźną — tem, co

*) F. L. Ferriani: *Entartete Mütter* (przekład z włoskiego przez Alfreda Ruhemanna). Berlin.

wpadło ojcu lub matce w ręce. Doszło wreszcie do strasznego znęcania się, które w końcu zaprowadziło rodziców przed sąd jako oskarżonych o pastwienie się nad własnem dzieckiem. Usiłowali usprawiedliwić swoje postępowanie: „pamiętajcie, panowie, iż w razie nieszczęścia ciążyłaby na starszym śmierć młodszego!“

Jak więc widzimy, przykład to bardzo zawiły pod względem psychologicznym. Rodzice w życiu codziennem nie wykazują żadnego zaburzenia moralnego, jak dama w opisie poprzednim. Owszem, posiadają wszelkie zalety, wymagane przez kodeks moralności mieszczańskiej. Kochają nawet swoje dzieci. Tylko że to przywiązanie odznacza się osobliwym charakterem: nie może jednocześnie ogarnąć obu malców, przyczem w głębi serca zapewne tkwi miłość i dla drugiego, jak to można wnioskować ze zwrotu uczuciowego podczas choroby młodszego synka.

Weźmy dwa ogniwa krańcowe, tj. takie, w których uczucie matki dla własnego dziecka zupełnie zanikło. W obu razach widzimy rysy szczególne, które uniemożliwiają nam orzec, jak to robi Ferriani, iż jest to matka zwyrodniała! W pierwszym wypadku mamy do czynienia poprostu z obłąkańcem zmysłu moralnego, w drugim zaś stosunki tak się wikłają, iż nie odważylibyśmy się przylepić doń jakiejkolwiek etykiety. I w innych przykładach spotykamy podobne rysy. Matka kocha jedno dziecko, które jest ładne i wprost nienawidzi drugie, brzydkie, nienawidząc zaś, wynajduje dla niego możliwe kary. To znowu pragnie, ażeby dzieciak dobrze się uczył i celował śród towarzyszów, dopięć zaś tego usiłuje przy pomocy znęcania się systematycznego. Jest dobrą i pobłażliwą matką, dopóki nie zakochała się w kimś nowym; odtąd dziecko jej staje się dla niej przedmiotem nienawiści. Psychologia zawsze jest tak skomplikowana, iż nie umielibyśmy nic stanowczego powiedzieć prócz tego, że ta sama kobieta może byłaby zdolna do poświęcenia z miłości, gdyby stosunki ułożyły się inaczej, gdyby więc maleństwo było dzieckiem mężczyzny, którego ona kocha, lub nie było tak brzydkie albo niezdolne. Zwłaszcza miłość tajemna dla nowego mężczyzny wpływa bardzo ujemnie: dziecko przestaje istnieć i jeżeli przeszkadza stosunkowi, staje się przedmiotem nienawiści. Uczucie macierzyńskie ustępuje w tym razie przed popędem fizyologicznym.

Zdawałoby się przecież, że można pozyskać pewien probierz, oświetliwszy kwestyę z punktu ogólno biologicznego, tj. wykazawszy rodowód uczucia macierzyńskiego, oraz jego potrzebę. Rozpatrując rzecz z tego stanowiska, będziemy musieli uznać istnienie uczucia matki względem potomstwa za potrzebę wprost organiczną, za spoidło podtrzymujące byt gatunku. Zaiste, przedstawmy sobie, że samica nie posiada instynktu dla własnego potomstwa i obojętna porzuca je na pastwę losu z chwilą wydania na świat. Kilka pokoleń wystarczyłoby do zupełnej zagłady wielu gatunków, właśnie tych, u których troska o dziecko jest koniecznym warunkiem utrzymania go przy życiu. Miłość to musi być ślepa, zdolna do poświęceń i mozołów. Instynkt ten jest wrodzony samicy. Jak on powstał, nie obchodzi nas to na razie, dość że jest właściwy każdej matce. Z takiego punktu każdą kobietę, nienawidzącą własne dziecko i pastwiącą się nad niem, należałoby uważać za okaz nienormalny, patologiczny pod względem uczuciowym, słowem, zaliczyć do kategoryi matek zwyrodniałych. Co więcej, nazwę tę trzeba byłoby nadać także tym kobietom, które są tylko obojętne dla własnego maleństwa. Atoli to kryteryum czysto organiczne, o ile zechcemy stosować je do świata stosunków ludzkich, daje także wnioski niepożądane. Wśród zwierząt samica troszczy się o dziecko, póki ono nie odchowa się dostatecznie. Wówczas na miejsce tak silnego popędu uczuciowego zjawia się zupełna obojętność, matka szuka znowu pełni dla własnego życia indywidualnego. Uczucia nienawiści dla własnego potomstwa, wybuchające z chwilą, gdy matka zapała miłością dla innego mężczyzny i czuje, iż dziecina przeszkadza jej, byłyby w zupełnej zgodzie z wymaganiami, że tak powiem, etyki organicznej, rozwojowej. Również uczucie obojętności, tak częste względem dzieci, które odchowały się, i otaczania pieszczotami najmłodszego potomka, są zupełnie prawidłowe i zdrowe w oświetlenia faktów królestwa zwierzęcego. Co więcej, postępowanie macochy, z takąż nienawiścią traktującej dzieci męża z pierwszego małżeństwa, jaką miłością darzy własne, jest w najdoskonalszej harmonii ze wzorami świata organicznego.

Jak widzimy, stosunki zwierzęce dostarczają pewnego kryteryum, ale nie tak rozległego, ani tak dokładnego, ażeby można je było bez zastrzeżeń stosować do rodu ludzkiego. Śród ludzkości powstały nowe wymagania, które poniekąd krzyżują potrzeby, pozostałe w organizmie kobiety z czasów odleglejszych przodków, nieposiadających jeszcze kształtów gatunku *homo*. Te wymagania są tak odmienne, że właśnie niektóre objawy instynktu matczynego zwierzęcego zaczynają uchodzić za objaw zwyrodnienia, np. stosunek matki do odchowanego dziecka, gdy miłość pociągnie ją w inną stronę. Dodajmy do tego jeszcze, że w miarę zmiany stosunków społecznych i probierz do sądzenia matki ulega także przeinaczeniu. To, co w pewnym okresie dziejowym możemy uważać za rys zwyrodnienia, w innej epoce może nie być poczytane za objaw taki. Przedewszystkiem zaś powinniśmy uchronić się od poglądu, jakoby „zwyrodniała matka“ przynajmniej w pewnych wypadkach, była istotą antyspołeczną. Istnieje cały szereg typów kobiecych, odznaczających się silną wrażliwością ideową, posiadających subtelne i bardzo ludzkie uczucia, a przecież jednocześnie niezdolnych do otoczenia maleństwa miłością swoją i troskliwością. Są to natury, przypominające kukawkę, która kładzie jajka swoje do cudzego gniazda. Ferriani traktuje je jako okazy, stanowiące wstępne ogniwo zwyrodnienia. Ale przedstawmy sobie dalszy rozwój ogródków freblowskich, oraz uspołecznienie obowiązków, spełnianych dzisiaj przez matkę. Osoby tylko co wspomnianego typu, wolne od powinności, które nie zgadzają się z ich usposobieniem, a tem samem pozbawione powodów pewnego rozdrażnienia, któremu niekiedy może towarzyszyć brutalne obejście z dzieckiem, mogą być bardzo sympatycznymi członkami społeczeństwa, spieszącymi z pomocą cierpiącym. Wątpię, czy w takich warunkach ktoś ośmieliłby się nazwać je okazami zwyrodniałymi. Zwyrodnienie, o którem mówi autor włoski, jest w pewnej mierze kategoryą historyczną, zależną od miejsca i czasu.

Poprzestaniemy na tych uwagach, które nam się nasunęły przy czytaniu książki Ferrianiego. Przedmiot, który on pominął, może być należycie rozwiązany tylko przy właściwem uwzględnieniu stosunków społecznych. Rozwój chwili obecnej, stwarzając w duszy kobiecej chęć szerszego życia, zaspokojenia łaknień indywidualnych, wśród których pociąg fizyologiczny musi odgrywać rolę pierwszorzędną, będzie wzmacniał antagonizm pomiędzy obowiązkami matczynymi a dążeniami osobistemi, tj. będzie mnożył objawy „zwyrodnienia.“ Z tym faktem winniśmy się pogodzić, jako z koniecznością dziejową. Chodzi tylko o to, w jaki sposób można byłoby otoczyć dziecinę troskliwością, której nie doznaje od własnej matki.

J. W.

LITERATURA I SZTUKA.

Dnia 19 b. m. zmarł w Chorowie w Galicyi

Kornel Ujejski.

Zgasła w nim ostatnia gwiazda z wielkiej plejady romantyzmu. Obszerniejsze wspomnienie zamieścimy później.

PRERAFAELIŚCI.

Współczesny rozwój literatury, a głównie poezyi w Europie zachodniej jest jak najściślej związany z historyą malarstwa angielskiego z ostatnich lat 50, a głównie z historyą prerafaelizmu. Zwykle literatura daje pobudkę i natchnienie innym gałęziom sztuki; tu działo się wprost odwrotnie. Korzystamy ze znakomitej książki Sizeranne'a*), żeby przedstawić ten ruch artystyczny, z pominięciem szczegółów technicznych, głównie z literackiego punktu widzenia.

Przed r. 1848 malarstwo angielskie wpadło w banalną szablonowość: postacie i twarze stereotypowe, bez wyrazu, natura bez życia, malowana w pracowni; cały gieniusz modnych artystów pędzla wysilał się na to, aby przedstawić szczegółowo kostiumy osób komicznych Goldsmitha lub delikatną sierść piesków wielkopańskich. Drobne tematy — drobne talenciki. Zbliża się pora, którą Constable przepowiadał w r. 1820: „Za lat trzydzieści nastąpi koniec malarstwa angielskiego.“

Takie było położenie, gdy w r. 1845 młody, nieznany artysta, Ford Madox Brown wracał z Paryża do Londynu z nowem zupełnie pojęciem sztuki, które miało wywołać w malarstwie i w poezyi całkowitą rewolucyę. Brown sądził, iż sztuka ginie dzięki skostnieniu form stereotypowych, ogólnych i że może być zbawiona jedynie postępowaniem wprost odwrotnem, tj. szczegółowem oddaniem rysów indywidualnych. Z drugiej strony należało — jego zdaniem — szukać ratunku w społecznej roli sztuki: ma ona być nie zbytkiem bogaczów, lecz chlebem powszednim dla wszystkich. Nareszcie pod względem wykonania był za powrotem do sztuki gotyckiej i do poprzedników Rafaela. Madox Brown wystawił cykl pięciu obrazów z podboju normandzkiego, malowanych w duchu tych zasad. Spotkał go całkowity zawód, bo nietylko obojętność, ale pogarda publiczności. Jedno tylko drobne echo odpowiedziało nowemu hasłu: 15-letni wówczas Dante Gabriel Rossetti napisał do Browna list, prosząc, żeby go przyjął na ucznia. Rossetti uczęszczał wówczas do akademii i miał tam dwóch kolegów, Holmana Hunta, którego rodzice przeznaczali do handlu, i Johna Everetta Millais.

Dwaj ostatni czuli także braki istniejącego kierunku i instynktownie zwracali się po nowe wzory do „prymitywistów,“ tylko że gdy Madox Brown szukał u nich gestów indywidualnych, nie stereotypo-

*) Robert de la Sizeranne: *La peinture anglaise contemporaine*. Paryż, 1896.

wych, oni głównie zachwycali się żywością i oryginalnością kolorów poprzedników Rafaela. Niezależnie od wszystkich tych malarzy też same potrzeby estetyczne odczuwał młody jeszcze wówczas i nieznany krytyk, John Ruskin, który wyłożył je już w r. 1843, w pierwszym tomie swych „Modern Painters," upatrując jedyne zbawienie w „powrocie do natury." Gdy w r. 1848 nowe teorye mniej więcej się wyjaśniły, Rossetti, Hunt i Millais założyli słynne „Braterstwo" dla ich propagandy i wcielenia w życie. Wkrótce przystąpiło do nich kilku innych młodzieńców, jak Woolner, Stephens, Collinson, Deverel, Hugh i Collins.

W r. 1849 trzej założyciele nowej szkoły wystąpili z pierwszemi dziełami. Millais dał ilustracyę do poematu Keatsa p. t. „Elżbieta," Hunt — obraz przedstawiający „Rienzi'ego," wreszcie Rossetti— „Dzieciństwo Madonny." Utwory te były przyjęte bardzo pochlebnie przez krytykę, gdyż nie podejrzywano jeszcze, iż są rękawicą, rzuconą sztuce urzędowej. Stało się to wiadomem dopiero w r. 1850, gdy młodzi malarze zaczęli wydawać swe pismo „The Germ." Myśl, iż oni chcą zmienić cokolwiek w położeniu estetycznem kraju, oburzyła do wściekłości konserwatyzm angielski. Na następnych dwu wystawach dzieła ich były pokryte śmiechem i szyderstwami. Rodziny młodych malarzy rumieniły się ze wstydu. Wówczas J. Ruskin wystąpił w obronie napadanych i uratował prerafaelistów. Od tego czasu dzieła ich były oklaskiwane i rozchwytywane przez publiczność, „Braterstwo" zdobyło ze dwudziestu nowych członków, śród których wymienić należy Swinburne'a, Morrissa i Burne Jonesa. W r. 1856 zwycięztwo nowej szkoły było zupełne, ale zarazem nastąpił koniec „Braterstwa." Większość członków rozjechała się w różne strony świata, Millais, wybrany do Akademii, zaczął się wyrzekać powoli dawnych ideałów. Napróżno Ruskin, którego czekały inne jeszcze ciosy, mianowicie ze strony Rossettiego *), zżymał się i gniewał na to odstępstwo: i on sam uległ już w ciągu tych lat dziesięciu znacznej ewolucyi wewnętrznej. Właściwie mówiąc, wojna była wygrana i żołnierze mogli być rozpuszczeni. Od r. 1857 prerafaelizm jest zwycięzcą i panuje niepodzielnie. Istniała tylko jedna myśl, która łączyła tych nowatorów i była ich przewodniczką. Żeby ją odszukać, trzeba jednak pozostawić na uboczu teorye i zająć się praktyką: badać nie pisma prerafaelistów, lecz ich obrazy. Wówczas odnaleźć można we wszystkich bez wyjątku wysiłek namiętny, prawie rozpaczliwy uwolnienia się od ruchu bez wyrazu i od kolorytu bez siły akademików z roku 1850. Tylko że młodzi malarze dochodzili do tego celu rożnemi drogami. Gdy jedni, jak Hunt i Millais, szukali gestów oryginalnych w drobiazgowem spostrzeganiu natury, która jest kopalnią niewyczerpaną nowych wyrazów, inni, jak Rossetti, dochodzili do tegoż celu drogą wprost odwrotną, czerpiąc materyały tylko w marzeniu i wyobraźni. Toż samo względem koloru. Tony silne, rozmaite i nowe, których Hunt i Millais szukali w krajobrazach Surrey'a, kopiowanych *en plein air*, Rossetti zdobywał śmiałemi próbami, dokonywanemi w swej pracowni, nieoczekiwanem zestawieniem barw.

Linia wyrazista i ton żywy — oto rysy najogólniejsze prerafaelizmu i na nich właśnie polega zasługa całego ruchu, gdyż w r. 1850 malarstwo angielskie skrystalizowało się, skostniało w określonych ogólnych formach, które stały się zbiorem recept dziedzicznych, przechodzących z pokolenia na pokolenie bez rozbioru i krytyki. Należało połamać raz na zawsze ustanowione stereotypy i zamazać linie pompatyczne, które nie wyrażały żadnego określonego ruchu. I tego właśnie dokonali prerafaeliści. Kolor szczery i naturalny wyrażał się u nich w poszukiwaniach pracowitych, niezmordowanych, na wolnem powietrzu, nad tysiącami barw i odcieni, które gra słońca sprawia.

Te same cechy odnaleźć można u innego jeszcze malarza, Fryderyka Watts'a, który nigdy do braterstwa prerafaelistów nie należał, ale samodzielnie doszedł do tego samego, co i oni, rezultatu. Watts ma jednak jeszcze oprócz tego odrębną charakterystykę. W Anglii uważany jest za twórcę sztuki mitycznej. Niedawno oświadczył jednemu z przyjaciół: „Maluję idee, a nie rzeczy." Ideom zaś stara się nadać charakter ogólny mitów. Przedstawia on nie oddzielnych ludzi, lecz ludzkość i dlatego na wszystkich jego obrazach ciała obnażone przeważają. Rygorzystom angielskim, którzy mu to wyrzucali, odpowiedział w sposób następujący: „Spojrzcie na mego *Mammona*, który nogami tratuje młodzieńca, a rękę brutalnie spuszcza na głowę dziewczyny. Czemu ofiary te namalowałem obnażonemi? Gdyż są typami ludzkości i gdyby były odziane (tj. wyodrębnione), siła moj nauki byłaby zniszczona. Przestałyby być typami."

Watts maluje nie dla przyjemności własnej lub bliźnich, lecz dla ich użytku. Jego zdaniem, misyą właściwą sztuki jest natchnąć ludzi do wielkich myśli i do wielkich czynów. „Moim celem — powiada — jest nie tworzenie obrazów przyjemnych dla oka, lecz przenikanie do umysłu i wyobraźni widzów, żeby tam obudzić to, co jest dobre i szlachetne." Jest to malarz „prawd wiecznych." Każdy jego obraz jest kazaniem. Możemy o tem sądzić z tematów: *Śmierć*, *Sąd ostateczny*, *Czas*, *Mammon*, *Kain*, *Anioł śmierci*, *Sumienie*, *Sic transit*, *Duch chrześcijaństwa*. Natomiast nigdy nie maluje scen rodzajowych ani krajobrazów, „gdyż te niczego nie dowodzą." Dogmaty jego są zresztą nader ogólne i niezależne od różnicy wyznań. Dom Wattsa otwarty jest dla każdego, co chce oglądać jego dzieła, a po śmierci malarza rozdzielone będą pomiędzy różne ludy świata, którym służyć mają do nauki. Sława mu jest obojętna: niedawno odmówił tytułu baroneta. Nie wierzy nawet, żeby dobrze uprawiał swą sztukę, ale jest przekonany, że spełnił swój obowiązek. Ta przepyszna figura ekscentryka i dziwaka jest możliwą tylko w Anglii. Przy tem wszystkiem jest on głębokim myślicielem i wielkim artystą.

Weźmy dla przykładu dwa jego obrazy, „Miłość i śmierć," a także „Miłość i życie." Nauka i krytyka nowożytna wysączyły wiele źródeł poezyi i uczyniły przestarzałemi większość alegoryi. Tylko miłość i śmierć pozostały prawie nietknięte przez wiedzę i niezmniejszone w umyśle ludzi. Te dwa tematy znakomicie poddawały się do opracowania mitologicznego. Naprzód „Miłość i życie."

Młodzieniec oskrzydlony, o twarzy męzkiej i natchnionej, wspina się po skale, prowadząc za sobą silną ręką dziewczę żałosne, znużone i pełne rezygnacyi. Jej oczy zwrócone są ku niemu z wyrazem czułości i prawie wyrzutu. Młodzieniec jest miłością, dziewczę — życiem. Ta miłość, która podnosi, pociesza i podtrzymuje, nie jest to zwykły Eros poetów, jest to raczej poświęcenie i miłosierdzie, które wyciąga dłoń pomocną ku wszystkim istnieniom, które się wloką z wysiłkiem, słabną i znajdują się na drodze upadku

Nie mniej oryginalnym jest obraz Wattsa „Śmierć." Umieścił ją na tronie, zbudowanym z ruin, pomiędzy dwoma olbrzymimi aniołami, którzy się skłaniają do snu. Do stóp tego tronu każdy po kolei przychodzi składać to, co posiada i błagać o trochę spoczynku. Król składa koronę, która pozwoliła mu tylko lepiej wymierzyć podłość ludzką, rycerz—miecz, kaleka — kule, młode dziewczę z wdzięcznością opiera się o boginię i zasypia w fałdach jej szaty. Wszystkie te postacie są poważne; żadna nie jest przestraszona, a oblicze młodego dziewczęcia wydaje się nawet szczęśliwem. Są tu wszyscy zawiedzeni i znużeni i żaden ich ruch nie dowodzi ani kropli żalu. Obraz ten tchnie niewymownym smutkiem.

Watts jest malarzem miłości i śmierci, ale jego miłość jest męzka, a jego śmierć dobroczynna. Pierwsza podpiera w życiu, druga zeń leczy. Watts jest katem wszelkich marzeń radosnych, wszelkich złudzeń różowych. Jego dzieła tchną pesymizmem, ale pesymizmem pełnym męztwa. Przypomina mocno Michała Anioła rodzajem wrażeń, które wzbudza. Watts jest głową sztuki mitologicznej, natomiast Hollman Hunt — chrześciańskiej. To on przed 40 laty stworzył drogę, po której z takiem powodzeniem kroczyli Munkaczy, Wereszczagin, Bida, Schmalz, Tissot i wielu innych. W 27 roku życia, zdobywszy już sławę za pomocą kilku obrazów, udał się do Ziemi Świętej, żeby zamknąć się w samotni pustym. Napróżno przyjaciele starali się odwieść go od tego zamiaru. „Nie chcę — mówił — wydawać wciąż tej samej formuły, tegoż samego przedmiotu, tegoż uczucia. Sztuka potrzebuje powietrza, przestrzeni, ciągłego odnawiania swych natchnień." Marzeniem jego było namalować historyę Chrystusa, ale w sposób, którykby mógł poruszyć nowożytne umysły krytyczne, tj. o ile można najrealniej, nie zaś pompatycznie, jak ją Renaissance przetworzył. W tym celu należało historyę tę studyować na miejscu. Z filozoficznej i moralizatorskiej, jaką była u Watts'a, sztuka staje się u Hunta chrześciańską. Od ogólnego spirytualizmu przechodzimy tu do określonych przekonań wierzącego. Wiara jego nie ucieka od sprzeczności, analizuje, bada, ale pozostaje niewzruszoną. Czytał Straussa i Renana, a jednak wierzy w boskie pochodzenie Chrystusa. Wiara głęboka przenika wszystkie jego obrazy, które jednak pozostają realistyczne. Weźmy np. „Cień śmierci." Jezus przedstawiony tu jest zwykłym robotnikiem, pracującym nie dla zabawy, lecz dla chleba, z piłą w ręku, śród kurzu i gorąca szopy stolarskiej. Długo był pochylony nad pracą, teraz stanął, przeciąga się, wdycha pełnemi płucami powietrze. Światło, padające mu na piers, odrzuca cień, który sprawia wyraźne wrażenie człowieka ukrzyżowanego. Przy całym swym realizmie obraz pozostaje więc symbolicznym. W większym jeszcze stopniu można to powiedzieć o „Ucieczce z Egiptu," która jest realną, ale zarazem mistyczną. Święta Rodzina ucieka z całym pośpiechem przed mordercami Heroda, ale otoczona jest ze wszystkich stron mnóstwem małych dzieci, które biegną z palmami, liliami i gałęziami w rękach. Jedno z nich pali nawet kadzidło. Głowy tych dzieci otoczone są światłem nadnaturalnem. Są to duszyczki dzieci zabitych przez Heroda. Zresztą wszystkie szczegóły tych obrazów są wzięte z rzeczywistości z najskrupulatniejszą ścisłością. Żeby osiągnąć ten cel, Hunt musiał niejednokrotnie zwalczać znaczne przeszkody Wypędzony w r. 1853 z Jerozolimy, uciekł z jednym tylko kozłem na brzeg morza Martwego i tam, otoczony zewsząd niebezpieczeństwami, stworzył swego „Kozła ofiarnego." Jego „Ucieczka do Egiptu" kosztowała go także dziesięć lat pracy, przerywanej najrozmaitszemi nieszczęściami i przygodami, do których zaliczyć należy, między innemi, prześladowania ze strony dyabła — ten ostatni punkt każe trochę powątpiewać o zdrowiu umysłowem wielkiego malarza. Idea

*) Por. Prawda z r. 1896: „Życie prywatne D. G. Rossettiego."

apostolstwa, która ożywia wszystkich prerafaelistów, kazała jednak i Huntowi przezwyciężyć wszystkie te przeszkody. Obecnie, u schyłku życia, odpoczywa i szuka wytchnienia w pracach łatwiejszych, maluje legendy „Okrągłego stołu,“ które niegdyś były czarem jego młodości.

W prerafaelizmie należy szukać nietylko zarodka wszystkich nowszych kierunków w malarstwie europejskiem, ale także i źródeł współczesnej poezyi: on był właściwym twórcą symbolizmu, estetyzmu, dekadencyi i mistycyzmu, które obecnie tak wszechwładnie panują w literaturze Europy zachodniej.

Dr. L. W.

SPRAWY EKONOMICZNE

DZIESIĘCIOLETNIA DZIAŁALNOŚĆ

instytucyj obowiązkowego ubezpieczenia robotników w Niemczech.

II.

Główne znaczenie przymusowego ubezpieczenia chorych polegało w Niemczech na tem, że zwiększyło w znacznym stopniu liczbę osób, mających zapewnioną pomoc w czasie słabości. Lecz ono byłoby niezupełne, gdyby jednocześnie nie istniało prawo ubezpieczenia na wypadek nieszczęścia, ponieważ chory korzysta z pomocy tylko w ciągu pierwszych 13 tygodni. Jeżeli więc uległ nieszczęśliwemu wypadkowi i potrzebuje dłuższej kuracyi, wówczas przechodzi po 13-tu tygodniach pod opiekę instytucyj, opartych na prawie ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków.

Dawniej, jeżeli wypadek taki przy pracy zdarzył się z winy własnej poszkodowanego lub skutkiem nieprzewidzianych okoliczności, robotnik nie miał prawa do żadnego wynagrodzenia; jeżeli zaś wypadek był wynikiem niedbalstwa lub złej woli innych, wówczas odpowiadał bezpośredni winowajca, a nie przedsiębiorca. Był to więc zwykle współtowarzysz poszkodowanego, równie biedny, jak on sam. Ani ten ostatni, ani rodzina po jego śmierci nie mogli otrzymać żadnego wynagrodzenia, nawet przy szczęśliwem przeprowadzeniu procesu. Taki stan rzeczy doprowadził do wydania t. zw. prawa o odpowiedzialności (7-go czerwca 1871 r.) fabrykanta. Ale poszkodowany tylko wtedy mógł otrzymać wynagrodzenie, jeżeli na drodze sądowej dowiódł winy przedsiębiorcy lub urzędnika fabrycznego *). On lub pozostała po jego śmierci rodzina mieli więc ciężkie zadanie procesowania się na własny koszt i ryzyko. Już to samo odjęło znaczenie nowemu prawu. Przytem zdarza się przecież często, że nieszczęśliwy wypadek następuje z własnej winy poszkodowanego lub jego towarzyszów, a wtedy nawet mowy nie było o wynagrodzeniu. Pozostawała tylko jedna droga wyjścia: żebranina, przytułki dla biednych itp.

Położenie takie wymagało radykalnej reformy, którą rząd teoretycznie urzeczywistnił. Dotychczas trzymano się zasady *prywatnej* odpowiedzialności i *prywatnego* wynagrodzenia poszkodowanych. Na jej miejsce postawiono, tak samo jak w wypadkach choroby, zasadę prawno-publiczną: bez względu na to, z czyjej winy nastąpił nieszczęśliwy wypadek, robotnik, pozbawiony możności pracy, a w razie jego śmierci pozostała rodzina mieli otrzymać pomoc drogą publicznego ubezpieczenia. Co więcej, cały ciężar tego ubezpieczenia nałożono na klasę przemysłowców. Wychodzono ze słusznej zasady, że ponieważ zajęcie przemysłowe wywołuje nieszczęśliwe wypadki, ciężary tych ostatnich powinny być uważane jako niezbędna część kosztów produkcyi. Dzięki takiemu poglądowi, robotnicy są zupełnie wolni od ponoszenia jakichkolwiek kosztów ubezpieczenia.

Pierwsze prawo o ubezpieczeniu w nieszczęśliwych wypadkach z dnia 6 lipca 1884 roku (Unfall-Versicherungsgesetz), t. zw. zasadnicze („Stammgesetz“) ograniczono, na próbę, do robotników przemysłowych. Służyło ono za podstawę do późniejszych rozszerzeń. Nakłada przymus ubezpieczenia robotników i oficyalistów fabrycznych z zarobkiem do 2,000 marek rocznie na przedsiębiorstwa przemysłowe, które dotychczas podlegały ustawie o odpowiedzialności (z dnia 7-go czerwca 1871 r.), dalej na zakłady rękodzielnicze, używające motorów, i na niektóre przedsiębiorstwa budowlane. Obowiązek ubezpieczenia może jednak być rozciągnięty i na oficyalistów, zarabiających więcej, niż 2,000 marek, przedsiębiorcy zaś mogą ubezpieczyć siebie samych i inne osoby.

Ubezpieczenie oparte jest na zasadzie wzajemności i na gwarancyi państwowej. Wykonawcami jego są stowarzyszenia fachowe przedsiębiorców, które tworzą się, stosownie do gałęzi przemysłu, na ograniczone okręgi przemysłowe lub na całe państwo.

W ciągu pierwszych 13-tu tygodni po nieszczęśliwym wypadku*) przychodzą robotnikowi z pomocą kasy chorych, przyczem, począwszy od 5-go tygodnia trwania choroby, zasiłek pieniężny podwyższony zostaje na rachunek przedsiębiorcy najmniej o $^2/_3$ zarobku. Po 13 tygodniach dopiero koszty kuracyi (lub pogrzebu) przechodzą na rachunek ubezpieczenia. Prócz tego, poręcza ono robotnikowi pewną rentę na czas niezdolności do pracy lub jego rodzinie w razie śmierci. Renta ta, w razie zupełnej niezdolności, wynosi $^2/_3$ zarobku za ostatni rok, przy częściowej zaś i dla pozostałej rodziny w razie śmierci (dla wdów, dzieci, robotników) tylko część powyższej sumy. W ostatnim wypadku wdowa i dzieci po zmarłym otrzymują do 60% rocznego jego zarobku, rodzice zaś, jeżeli potrzebują pomocy, otrzymują 20%. W zamian powyższego, robotnik, dotknięty nieszczęśliwym wypadkiem, może otrzymać, stosownie do wyboru, opiekę i życie w szpitalu aż do zupełnego wyleczenia i jednocześnie rentę dla rodziny taką samą, jak w wypadku śmierci.

Dla ujednostajnienia kuracyi, kasy chorych mogą pielęgnować chorego i po upływie 13 tygodni aż do jej końca, wzamian za zwrot kosztów lub też towarzystwa ubezpieczeń biorą na siebie leczenie od samego początku za zwrotem kosztów od kas chorych za 13 tygodni.

I z tego rodzaju ubezpieczeń udział robotników nie jest wykluczony. Mianowicie, o wydaniu i wysokości wynagrodzenia w razie nieszczęśliwego wypadku rozstrzygają odpowiednie związki fachowe przedsiębiorców. Od ich decyzyi poszkodowany może apelować do sądu honorowego, który składa się z 2 członków stowarzyszenia i z 2 przedstawicieli ubezpieczonych robotników pod przewodnictwem urzędnika państwowego. Przeciw wyrokowi tego sądu obie strony w ciągu 4 tygodni mogą odwołać się do państwowego urzędu ubezpieczenia (Reichs-Versicherungsamt).

Wynagrodzenie za nieszczęśliwe wypadki zostaje wypłacone przez kasy pocztowe na rachunek stowarzyszeń ubezpieczeniowych. Suma tych wynagrodzeń, wraz z kosztami administracyi i niezbędnem odkładaniem na fundusz rezerwowy, zostaje rozłożoną pomiędzy przedsiębiorcami — członkami danego stowarzyszenia. Przyjęto tu bardzo ważną zasadę: im większe ryzyko dla zdrowia i życia robotników przedstawia dane przedsiębiorstwo, tem większa część ciężarów spada na danego przedsiębiorcę. Stosownie do tego każde stowarzyszenie winno opracować taryfę ryzyka, która wraz z ilością zajętych w danem przedsiębiorstwie robotników decyduje o wysokości wkładów każdego członka.

Jak wiadomo, przeciwnicy przymusowego ubezpieczenia twierdzą, że prowadzi ono do zaniedbania środków ochronnych przy pracy. System taryfy ryzyka, przyjęty w Niemczech, zupełnie unicestwia to twierdzenie. Chcąc płacić według najmniejszej stawki, każdy fabrykant stara się, aby ryzyko pracy było jak najmniejsze. Z tego powodu rząd musiał nawet udzielić stowarzyszeniom ubezpieczeniowym prawa wydawania przepisów ochronnych przeciwko wypadkom. Jeżeli jakiś fabrykant uchyla się od zapłacenia według wyższej normy, stowarzyszenie może go zmusić do zaprowadzenia niezbędnych środków ochronnych. Z liczby 64 zawodowych stowarzyszeń ubezp. dotychczas 60 wydało przepisy o ochronie zdrowia i życia, a dla nadzoru nad przedsiębiorstwami postawiło 204 inżenierów rewizyjnych. W ten sposób, zamiast zwiększać ryzyko pracy, jak sądzą przeciwnicy, ubezpieczenie publiczne wywołuje w Niemczech coraz większą dbałość o życie robotników. Praktyka życiowa prowadzi na tę samą drogę i rolne stowarzyszenia ubezpiecz. Według danych statystyki nieszczęśliwych wypadków w przemyśle za rok 1887 i w rolnictwie za rok 1891 przeszło połowa (53,13 w przemyśle, 65,49% w rol.) nastąpiła z winy robotników lub fabrykantów. Zmuszając więc jednych i drugich stosować się do przepisów, można zapobiedz ogromnej ilości nieszczęść.

Jak już wiemy, robotnicy nic nie płacą za ubezpieczenie, jeżeli nie liczyć wkładów do kas chorych, które zajmują się nimi w pierwszych 13 tygodniach po nieszczęśliwym wypadku. W ten sposób, według obliczeń tymczasowych, ponoszą 11% wszystkich ciężarów tego ubezpieczenia, podczas gdy fabrykanci $33^1/_3$%. Z tego względu robotnicy mają swych przedstawicieli w takiej samej liczbie, jak fabrykanci: przy policyjnem stwierdzaniu nieszczęśliwych wypadków, poprzedzającem opiekę instytucyj ubezpieczenia, przy obradach nad przepisami o środkach ochronnych podczas pracy, w sądach honorowych i w państwowym urzędzie do spraw ubezpieczeniowych.

Prawo z dnia 28 maja 1885 r. rozszerzyło przymusowe ubezpieczenie na wielkie przedsiębiorstwa transportowe wewnątrz kraju, zarówno lądowe, jak wodne, włączając również: poczty, telegrafy, koleje żelazne, marynarkę i administracyę wojskową. Prawo z dnia 15 marca 1886 r., dotyczące opieki nad urzędnikami i osobami stanu żołnierskiego w razie nieszczęśliwych wypadków zawodowych, należy raczej do ustawodawstwa emerytalnego, aniżeli do właściwego ubezpieczenia. Dnia 5 maja 1886 roku wydane zostało prawo, które rozszerzyło przymus ubezpieczenia na przedsiębiorstwa rolne i leśne. Pozwala ono na przymus i względem drobnych przedsiębiorców (zarabiających do 2,000 mar. rocznie). Ubezpieczeni w przedsiębiorstwach rol-

*) Tylko przedsiębiorcy dróg żelaznych byli bezpośrednio odpowiedzialnymi, jeżeli nie mogli dowieść, że przyczyną nieszczęścia była własna nieostrożność robotnika lub siła wyższa.

*) Mowa tu jest tylko o nieszczęśliwych wypadkach w obrębie zakładu fabrycznego, po za jego granicami robotnik nie korzysta z ubezpieczenia.

nych i leśnych otrzymują rentę nie według zarobku osobistego, lecz podług zarobków przeciętnych. Dalej, rozkład ciężarów na przedsiębiorców może być dokonywany nie według zapotrzebowania siły roboczej, lecz podług podatków bezpośrednich, zwłaszcza według gruntowego, przyczem drobni przedsiębiorcy mogą być zupełnie lub częściowo od ciężarów tych zwolnieni.

Rok 1887 przyniósł jeszcze prawo (z d. 11 i 13 czerwca) o ubezpieczeniu w przedsiębiorstwach budowlanych i morskich.

Wkrótce spodziewane jest rozciągnięcie ubezpieczenia na rękodzielnictwo, na przemysł drobny i domowy, oraz na przedsiębiorstwa handlowe, czyli na milion przedsiębiorstw i 2 miliony robotników. Tymczasem już w pierwszem 10-leciu (1885—1895) przedsiębiorcy niemieccy zapłacili 250 milionów marek odszkodowania i 125 milionów na fundusz rezerwowy.

Następująca tabliczka da pojęcie o rozwoju tego ubezpieczenia:

Lata	Liczba ubezpieczonych	Liczba nieszcz. wyp., wymagających odszkod.: wogóle nieszcz. wyp.	wyp. śm.	pozostali po śm.	% było śm.	Wypłacono odszkodowania w gotówce marek
1886	3,700,000	10,500	2,700	5,900	25,7	1,900,000
1887	4,100,000	17,100	3,200	7,000	18,7	5,900,000
1888	10,300,000	21,200	3,600	7,700	17,0	9,600,000
1889	13,300,000	31,400	5,200	10,500	16,6	14,400,000
1890	13,600,000	42,000	6,000	11,300	14,3	20,300,000
1891	18,000,000	51,200	6,400	12,800	12,5	26,400,000
1892	18,014,000	55,600	5,900	11,800	10,6	32,300,000
1893	18,118,000	62,700	6,300	12,700	10,0	38,100,000
1894	18,191,000	69,600	6,300	12,200	9,1	44,200,000

W 1895 roku było 18,389,468 osób ubezpieczonych, obejmujących razem 5,248,709 przedsiębiorstw. Wydano 68,424,279 marek na 318,368 odszkodowanych nieszczęśliwych wypadków. Na jeden wypadek przypada przeszło 200 marek.

(D. n.).

O PRAWDĘ.

Odpowiedź p. Leo—Belmontowi *).

Spotkał mię zaszczyt niemały: p. L. B., pracujący, jak mówią, specyalnie nad rytmiką polską, raczył ogólnikowo pochwalić drukowane w *Prawdzie* „wspomnienie pozgonne“ o Asnyku, a uderzywszy nieszkodliwie tępem ostrzem swej krytyki w jeden z ustępów artykułu, zapełnił przy tej sposobności cztery łamy tygodnika różnymi poglądami, których znaczna część, pod wpływem dojrzalszej rozwagi, uległaby napewno przekreśleniu.

Utrzymując, że Asnyk, jako mistrz formy, „nie dorównywa pewnym,“ znanym w literaturze naszej „wzorom,“ wiedziałem, co mówię; jeżeli zaś — nie *mimowolnie*, lecz *świadomie* — „maleńką“ popełniłem „niesprawiedliwość,“ to tylko w kierunku przeciwnym. Szczery żal po zgasłym poecie-obywatelu, który nam w spadku wielki skarb duchowy przekazał, trudno mi i dzisiaj pogodzić z wywołaną przez p. Leo—Belmonta potrzebą umotywowania swego sądu; ale idzie tu o prawdę: „Amicus Plato, magis amica veritas...“ Uprzedzam wszelako, że pominę wiele szczegółów, którebym chciał poruszyć; bo w numerze bieżącym bardzo mało jest miejsca na polemikę.

Czyż mam bronić zarzutów swoich, wymierzonych przeciw drobnym niedokładnościom rytmicznym wierszyka p. n. *Ulewa?* Byłoby to chyba zbytecznem. Szanowny mój przeciwnik uznał je zrazu, jak się zdaje, za słuszne; potem natarł na nie, zrobiwszy sobie naprędce tarczę z ballad Mickiewicza; wreszcie oświadczył, że tam, gdzie ja widzę jamby, on „upatruje kombinacyę amfibrachów z trochejami.“ Przed ostatecznością uznania przeważnej liczby ballad naszego arcymistrza za „zbiór usterek rytmicznych“ — wcale się nie cofam; ale pomysł autora, nazwany przez niego delikatnie „dość śmiałem twierdzeniem,“ poczytuję za wyskok figlarny, niemający nic wspólnego z umiejętnem traktowaniem przedmiotu. Wiersze nieparzyste w utworze *Ulewa* są wzorowo-jambiczne; owa zaś mniemana „pauza“ podwójna (υ—υ | — + || ——— | — +) w związku z potworną „cezurą“ — to urojenie dziecinne, fałsz, pijawka fantastyczna, która, przystawiona do wiersza, może z niego krew rytmiczną wyssać i z kozła zrobić barana. Ustęp odpowiedni również dowodzi, że p. L. B. błędne ma pojęcie o roli, jaką t. zw. średniówka w wersyfikacyi polskiej odgrywa; nie jest ona bynajmniej żadnym „odpoczynkiem dłuższym,“ obowiązującym deklamatora; lecz elementarnym tylko, a *niezawsze dostatecznym* probierzem dla wierszy pod względem rytmicznym niejednolitych. Nie potrzebujemy szukać naturalnego przestanku po stałym akcencie środkowym w tak prawidłowym poemaciku, jak *Ulewa*; jest tu bowiem tyle „cezur“ polskich, ile granic między stopami. W wierszu: „Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr“—przecinek sam służy czytającemu za wskazówkę odpowiedniej przerwy; ale gdy mówimy: „Rozpostarł z mgły utkany płaszcz“ — to żadnej „dłuższej“ pauzy przed wyrazem „utkany,“ pod karą śmieszności, zaprowadzać nam nie wolno.

Autor zawiele czasu i miejsca poświęcił wyszukiwaniu plamek wersyfikacyjnych na śnieżno-białej todze Kornela Ujejskiego, który jest w moich oczach stylistą i wierszotwórcą dzielniejszym od Asnyka. Czyż tylko talentowi *zmarłych* cześć mamy oddawać? Czyż mistrzom słowa *za życia* nie należy się nic, prócz drobiazgowej pseudo-krytyki? — Powinniśmy być zarówno dla jednych, jak dla drugich sprawiedliwymi, a przedewszystkiem sąd swój wynikowy na sumiennem a umiejętnem poznaniu przedmiotu stale opierać*).

P. Leo—Belmont uderza między innemi na wierszyk Ujejskiego „Do mojej siostry, Karoliny W.,“ skreślony w r. 1844, a więc w porannym okresie twórczości. Nad tym poemacikiem, przedstawiającym znamienną mozajkę rytmiczną, mógłby się nasz krytyk pastwić do syta; ale dowiódł niezwykłej... łaskawości, wykazując dwie tylko usterki. „W wierszu *Do mojej siostry* (powiada), którego budowa od początku do końca jest amfibrachiczną (!), spotykamy następujący, niezmiernie wadliwy (!) dwuwiersz:

> Jeśli mnie młodego grób zimny i głaz
> Oderwie od czynu, od pieśni, od was...“

Według szanownego krytyka, błędny ustrój polega tu na konieczności akcentowania: drugiej zgłoski wyrazu „*jeśli*“ i „enklityki (?) *was*.“ Nadewszystko zauważyć muszę, iż zaimek ten nie jest wcale stałą, właściwą enklityką; chociaż w połączeniu z jednosylabowymi przyimkami traci zwykle akcent. Pełen żaru, młody poeta, w którego piersi sprzeczne ścierają się prądy, mówi z wyjątkowo silnym naciskiem o sobie i o swych bliskich, wobec wiszącego nad głową widma fatalnej rozłąki; musi więc, mojem zdaniem, akcentować takie wyrazy, jak: „*mnie*“ i „*was*.“ Formułę rytmiczną dwuwiersza tak-bym wyraził:

> —υ— | υ—υ | — —υ | υ—
> υ—υ | υ—υ | υ—υ | υ—

P. L. B popełnił błąd stanowczy, twierdząc, że w utworze danym „od początku do końca“ panują amfibrachy. Według mnie, wiersze czysto-amfibrachiczne (np. „Jak wieków minionych odkryta kolumna“) do rzadkich tu należą zjawisk. Jest to psychologicznie ognista a jaskrawa pod względem rytmicznym próba, stanowiąca dziwną, choć w gruncie harmonijną wiązankę najrozmaitszych stóp: amfibrachów, jambów, antibakchiusów (——υ), krotyków (—υ—), daktylów (—υυ) i innych. Młodziutki piewca zapala się w niej do orlego lotu; igra zuchwale z trudnościami formy, i nawet charakterem błędów swoich zapowiada, że mistrzem jej będzie. Nie mam czasu i miejsca na rozbieranie innych zarzutów przeciwko wierszom Ujejskiego wymierzonych; zaznaczę tylko, że p. L. B. nie ocenia należycie *Marsza pogrzebowego*, bo mu zarzuca odstępstwo od normy rytmicznej, zapominając o właściwościach dytyrambu.

Niektóre z wytkniętych usterek (np. w *Cieniu i świetle*) uważam za rzeczywiste, i wiem, że niema mistrza bezwzględnie doskonałego; ale co w Ujejskim, Słowackim, Zaleskim odkrywamy przy pomocy szkiełek powiększających, to u Asnyka gołem okiem dostrzedz można. Oceniam tu zresztą nie rytm tylko w połączeniu z rymem, lecz formę wogóle wersyfikacyjno-stylową. El..y na swem przyznanem powszechnie stanowisku mistrza zamało dba o współdźwięczność wyrazów i harmonię języka. W jednym np. z jego najpiękniejszych poemacików — *Baśn tęczowa* — energią duchową tchnący, finał jest oszpecony dysonansem spółgłoskowym: „Przecież życia nie roztrwoni“ *). Drobnostka ta wszakże uchodzić jeszcze może bodaj za ozdobę w porównaniu ze strasznym nieładem stylowym utworu p. n. *Rezygnacya* (tom II). Przytoczymy z niego wyjątek, podkreślając ważniejsze rozdźwięki:

> „*Niema* boleści, coby *mnie* trwożyła,
> Bo dzisiaj nawet w własny ból *nie* wierzę;
> Ogniowa próba dla *mnie* się skończyła,
> I do cierpiących więcej (?) *nie* należę.
> I żadne szczęście *ziemskie mnie nie* zwabi,
> *Żebym się po nie miał* schylić ku *ziemi*,
> I żaden zawód sił *mych nie* osłabi;
> Przebytą męką panuję nad *niemi*.
> . . . .
> Niech *się* więc kończy owa sztuka ładna,
> Co *się* zwie życiem . . .“

W XIX-ym sonecie zbioru *Nad głębiami* powtarzana ciągle końcówka *em* zadaje śmiertelny cios wierszowi, któremu, i bez tej wady, sucha osnowa nie pozwala wejść do królestwa poezyi:

> „Dopiero *w związku z wszechświata ogromem*
> Człowiek granice istnienia rozszerza;
> . . . .
> Już się nie czuje *bezsilnym atomem*,
> *Tonącym w związku nicestwa łakomem*...“

Do skażonych pod względem formy zaliczę również sonet XXVIII, w którym obok monotonnego powtarzania imiesłowów („zniknioną“—„spustoszoną“—„rozpaczające“ — „mrożąc“) i innych postaci gramatycznych, razi nadmierna obfitość brzmień: ę, ą. — 26 samogłosek nosowych w 14 wierszach — to trochę zawiele.

Przykładów podobnych mógłbym niemało przytoczyć; brak mi wszakże czasu i miejsca, a czynność sama, wcale ku sobie nie nęci. Zwrócę jeszcze tylko uwagę na dość głęboki i oryginalny, ale pod względem formy wadliwy utwór p. n. *Lykofron do Fatum*. Oto pierwsza strofa „białym“ niby wierszom skreślonego poematu:

> „O Fatum, *pożerające* ludzi i bogów,
> *Grzebiące* w ciemnej otchłani *długie* pokoleń szeregi,
> *Głuche* (Fatum czy szeregi?) na wszelkie wołania,
> I bez litości!

---

*) *Prawda*, nr. 37.

*) Pisano na parę dni przed otrzymaniem wieści o zgonie największego ze współczesnych poetów naszych.

*) Cytując ten wiersz w nr. 34, nie mogłem się powstrzymać od przestawienia wyrazów („Życia przecież...“).

Czy cię czcić, czy też przeklinać, nie wiemy.
Nie wiemy, jakim sposobem dzierżysz swą władzę
Nie wiedząc, czyli dłoń twoja [nad nami,
Świat wydobyła
Z bezładnej chaosu *nocy, co bez początku*."

Jest to mojem zdaniem próba, imponująca do pewnego stopnia pomysłem i w treść bogata, lecz prozaiczna, bo pozbawiona pięknej formy, bez której niema poezyi. Rozchodzę się tutaj z szanownym oponentem i z liczną sprzymierzeńców jego gromadą. Według mnie, forma—to potęga, wcale nie drugorzędna w tworzeniu literacko-artystycznem. Częstokroć ona sama, wobec nikłej, niezjętej osnowy, natchniona jakimś tajemniczym duchem, wywiera odpowiedni efekt na umysł czytelnika.

Zgasły przed dwoma miesiącami pieśniarz, jako mistrz formy, nietylko Słowackiemu, Zaleskiemu, Ujejskiemu, lecz i niektórym innym, znacznie młodszym wieszczom ustępuje. Proszę tylko sumiennie porównać dopiero co przytoczony utwór El...ego z odpowiedzią Maryi Konopnickiej (*Fatum do Lykofrona*), usnutą niegdyś (*Prawda* z r. 1888, nr. 50) według tej samej, co wiersz Asnyka, normy rytmicznej...

Na zakończenie repliki zauważyć muszę (ogólnikowo tymczasem), iż nadęte a złą polszczyzną skreślone („studyując rymy Kochanowskiego *z uwagą*..., dostrzeżemy *ze zdziwieniem*, że używał on *ze spokojnem sumieniem*...") poglądy na „olbrzymią ewolucyę (!) w sztuce rymowania," uwydatniającą się jakoby u Mickiewicza, porównywanego z poprzednikami — nie mają najmniejszej racyi bytu. Do takiego wniosku doprowadzi trzeźwe zestawienie trzynastozgłoskowca w sielankach Szymonowicza lub w satyrach Krasickiego z podobnym trzynastozgłoskowcem w *Panu Tadeuszu*. Nie widać tu żadnego zgoła postępu. Pod piórem Adama Mickiewicza poezya nasza olbrzymi rzeczywiście krok naprzód zrobiła; ale nie w sferze rymu.

A. G. Bem.

W DALI

Wilno. Na kierownika spraw miejskich wybrano p. Józefa Montwiłła, dyrektora miejscowego Banku ziemskiego. Stanowisko głowy miasta, posiadającego liczne potrzeby i kłopoty, jest ważne i trudne. Powszechne jest mniemanie, że obecny kierownik, który jest znany ze swej działalności obywatelskiej, potrafi wywiązać się z zadania i służyć będzie z pożytkiem dobru ogólnemu. — Hr. Antoni Tyszkiewicz w swych dobrach Kojrańskich ofiarował 100 dziesięcin ziemi z kawałkiem lasu (w pobliżu Wilna) na wzniesienie szpitala dla obłąkanych. Na wybudowanie tego zakładu i zaopatrzenie we wszelkie urządzenia niezbędne potrzeba około trzech milionów rubli.—Ceny żyta poszły w górę. W ciągu kilku lat ostatnich za pud żyta płacono 45—50 kop.; obecnie płacą po 75 i więcej. Najwyższych cen doczekał się jęczmień, za który płacą kop. 95—100. Na zwyżkę wpłynęł nieurodzaj oraz zapotrzebowanie dość znaczne tego ziarna do Petersburga i Moskwy, gdzie syndykat rolników mińskich znalazł korzystne rynki zbytu.

Moskwa. Ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało do pp. gubernatorów okólnik treści następującej: „W Moskwie, w mieście, które ze względu na swoje znaczenie handlowe i przemysłowe zajmuje wyjątkowe położenie, w r. 1891 było wzbronionem przemieszkiwanie Żydom rzemieślnikom, a w r. 1892 nie zapisanym do stałej ludności Moskwy i gub. Moskiewskiej dymisyonowanym wojskowym niższych stopni, którzy służyli na prawach poprzedniego poboru wojskowego i członkom ich rodzin. Obecnie Jego Cesarska Wysokość General-Gubernator moskiewski zwrócił się do ministeryum o przedsięwzięcie środków zapobiegawczych przeciwko samowolnemu przyjazdowi do Moskwy z innych miast Żydów chorych, chcących leczyć się w stołecznych zakładach leczniczych, nadmieniwszy, iż razem z chorymi przyjeżdżają do stolicy ich krewni, których przebywanie tam przy innych warunkach nie mogłoby być tolerowane na mocy przytoczonego powyżej prawa. Ponieważ według obowiązujących przepisów o Żydach, osoby wyznania mojżeszowego bez oddzielnych pozwoleń mogą przyjeżdżać swobodnie z granic posiadłości żydowskich na kuracyę tylko do Kijowa, przeto w celu zapobieżenia samowolnemu przyjeżdżaniu do Moskwy z innych miast chorych Żydów, mogą oni i towarzyszący im krewni przybywać tam nie inaczej, jak na mocy uprzedniego zezwolenia p. oberpolicmajstra Moskwy.

PRASA ROSYJSKA.

Now. Wremia w korespondencyi z Warszawy donosi następujące szczegóły o uczcie, wyprawionej w naszem mieście na cześć dziennikarzy rosyjskich:

„Był to w każdym razie — objaw ciekawy, chociażby dlatego, iż zdarzył się po raz pierwszy. Bywały pojedyncze wypadki polskiej gościnności dla osób pojedynczych, lecz całą grupę korespondentów rosyjskich, jako przedstawicieli prasy rosyjskiej, prasa polska przyjmuje po raz pierwszy.

Zapraszali dziennikarzy rosyjskich osobiście członkowie redakcyj polskich; proszono nas wszystkich, abyśmy zebrali się w hotelu Europejskim dla spędzenia wieczoru, a raczej nocy, ponieważ bankiet rozpoczął się o godz. 1-ej po północy, po skończonem przedstawieniu galowem w Teatrze Wielkim. Innej pory nie było swobodnej. Przez całe dnie byliśmy zajęci. Trzeba było jeździć i patrzeć, nieraz nie było czasu opisywać tego, co się widziało. Dziennikarzy rosyjskich i korespondentów z Petersburga i Moskwy było razem 6, pp.: Gotberg, Gurland, Mocharski (rysownik), Nienarokomow, Propper i Prokofiew. Z dziennikarzy polskich byli redaktorowie *Słowa* pp.: Godlewski, Doninirski i ksiądz Chelmicki, redaktorowie *Kraju* pp.: Piltz, Straszewicz i Grendyszyński, redaktor *Niwy*, p. Adam Nowicki, znany polski powieściopisarz Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), literaci: Zamarajew (Ursyn), Kosiakiewicz, Mieszkowski, Puffke, Smarzewski, adwokat przysięgły Suligowski. znany ekonomista Bronisław Werner, ze Lwowa pp.: Zajączkowski i Zielonko. Prócz przedstawicieli dziennikarstwa polskiego, na bankiet przybyli wybitni przedstawiciele towarzystwa warszawskiego, jak naprzykład prezes komitetu obywatelskiego do urządzenia przyjęcia dla Najjaśniejszych Państwa, p. Lucyan Wrotnowski. wnuk znakomitego poety polskiego, Adam hr. Krasiński, Władysław hr. Wielopolski, Adam hr. Zamojski, członek zarządu szlacheckiego Towarzystwa kredytowego p. Jeziorański, wice-prezes oddziału rosyjskiego Towarzystwa handlu i przemysłu p. Władysław Leppert, dyrektor drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej p. Kozłowski i inni.

W licznych mowach i toastach podnoszono jedną myśl — o znaczeniu prasy, o jej jednoczeniu się.

Pierwsza mowa była toastem na cześć dziennikarzy rosyjskich, przybyłych do Warszawy dla opisania przyjęcia Najjaśniejszego Pana, przyczem wyrażono życzenie, aby można było znaleźć więcej punktów zjednoczenia prasy rosyjskiej z polską. Odpowiadając na toast, jeden z dziennikarzy rosyjskich przeprowadził myśl, iż grunt dla zjednoczenia się współbraci jednoplemiennych i współbraci po piórze leży już w samych ich zawodzie, gdyż wszyscy pracownicy pióra są powołani do służenia prawdzie, pożytkowi i interesom ogółu, i życząc rozwoju zjednoczenia na tym gruncie, dziękował wszystkim polskim współbraciom, którzy tak gościnnie przyjęli Rosyan w Warszawie. Toastów było mnóstwo. Pito za każdego z obecnych. Ze szczególnym zapałem przyjęto toast na cześć Bolesława Prusa. Szanowny powieściopisarz rzadko kiedy bywa na bankietach, lecz na ten bankiet na cześć Rosyan uważał za właściwe przybyć. Chociaż dziennikarze byli znużeni poprzednią ciężką pracą, lecz spędzili całą noc niepostrzeżenie, z wielkiem ożywieniem."

KRONIKA.

Uchwała. W „Zbiorze praw i rozp." z dnia 10 b. m. (nr. 90 poz. 1,161) ogłoszono uchwałę komitetu ministrów „o wprowadzeniu języka rosyjskiego do czynności Towarzystw kredytowych miejskich, działających w gub. Królestwa Polskiego." Oto jej brzmienie: „Uznawszy za konieczne wprowadzić język rosyjski do czynności Towarzystw kredytowych miejskich w gub. Królestwa Polskiego, minister skarbu d. 28 maja s. s. 1897 roku, za nr. 8,116, złożył komitetowi ministrów wniosek, w którym proponował wydać dla Towarzystw kredytowych miejskich, działających w gub. Królestwa Polskiego następujące przepisy: 1) Począwszy od d. 1 lipca s. s. 1900 roku, czynności piśmienne, rachunkowość i sprawozdania Towarzystw kredytowych miejskich w gub. Królestwa Polskiego winny być prowadzone wyłącznie w języku rosyjskim; dopuszcza się tylko wyjątek dla korespondencyi z dłużnikami i taksatorami, która tymczasowo, do dnia 1 lipca s. s. 1903 roku, może być załatwiana w języku polskim. 2) Od daty ogłoszenia niniejszych przepisów, na posady w rzeczonych Towarzystwach kredytowych miejskich mogą być wybierani, a niemniej wyznaczani tylko ci, którzy znają gruntownie język rosyjski i mogą w nim swobodnie prowadzić korespondencyę. Po rozpoznaniu tego wniosku, komitet ministrów orzekł wniosek ten zatwierdzić. Najjaśniejszy Pan w dniu 27 czerwca s. s. 1897 roku Najwyżej zezwolił na uchwałę komitetu ministrów."

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawy: Towarzystwa pedagogicznego wzajemnej pomocy w Kijowie i Kasy zaliczkowo-wkładowej urzędników zarządu miejskiego w Kownie.

— Najjaśniejszy Pan w d. 25 czerwca r. b. Najwyżej rozkazać raczył: 1) W zakładach naukowych cywilnych obowiązkowe i przymusowe uczęszczanie uczniów wyznań obcych na nabożeństwa prawosławne w dni galowe znieść wszędzie; 2) wspólną dla wszystkich uczniów chrześcian modlitwę szkolną w tych zakładach naukowych cywilnych, w których znajduje się znaczna liczba innowierców, zastąpić przez osobną modlitwę wyznaniową, wedle zasad każdego wyznania. Władze naukowe w okręgu warszawskim otrzymały osnuty na powyższem rozporządzeniu okólnik ministeryum oświaty.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę normalną „towarzystw pomocy dla ubogich," z nadaniem gubernatorom władzy zatwierdzania takich instytucyj bez odwoływania się do ministeryum.

— Z chwilą zaprowadzenia monopolu sprzedaży skarbowej trunków i zamknięcia dotąd istniejących szynków w Warszawie, właściciele pomienionych zakładów i służba, o ile nie są stałymi mieszkańcami i o ile nie wykażą w pewnym określonym terminie sposobu zarobkowania, będą wezwani do opuszczenia Warszawy i udania się do miejscowości, w których są zapisani jako stali mieszkańcy. (*Kur. Warsz.*).

— Opracowano projekt konwencyi literackiej pomiędzy Rosyą a Francyą.

— Z powodu nieporozumienia w kraju nadbałtyckim co do języka w stosunkach konsulów zagranicznych z władzami tamtejszemi, zalecono tym ostatnim nie przyjmować papierów, pisanych nie po rosyjsku.

— Ministeryum oświaty upoważniono do udzielania pozwoleń na tworzenie towarzystw naukowych, zwoływanie zjazdów uczonych, zatwierdzanie ustaw towarzystw odczytów publicznych i czytelni ludowych. Dotychczas na to wszystko potrzeba było upoważnienia komitetu ministrów.

Szkoły. W Kielcach odbyły się narady w sprawie założenia tam szkoły fachowej. Już przed kilku laty obywatele miasta przedstawili władzy projekt takiego zakładu — szkoły górniczo - technicznej z dwoma oddziałami przygotowawczymi. Dwie kla-

sy przygotowawcze stanowią właściwe przejście do klasy I szkoły technicznej. Można też do niej wstąpić ze świadectwem z ukończenia pięciu klas szkoły realnej. Wychowaniec szkoły górniczo-technicznej będzie fachowcem bardzo pożądanym dla każdej fabryki i kopalni, gdyż może samodzielnie zarządzać pewną gałęzią wytwórczości.

— Rada warszawskiego Instytutu weterynaryjnego z powodu znacznej liczby kandydatów, nieprzyjętych w r. b., czyni starania o przekroczenie normy dzisiejszej, tj. zwiększenie liczby słuchaczów ze 115 do 150.

— Z początkiem roku szkolnego 1898/9 powstanie w Warszawie 32 szkoły elementarne (27 chrześciańskich i 5 żydowskich). Podania o przyjęcie dziatwy już teraz można składać pod adresem p. inspektora szkół m. Warszawy (Wspólna 53, m. 8) Wstęp do tych zakładów i nauka bezpłatne. Do oddziału pierwszego przyjmowane będą dzieci w wieku lat 10. Pierwszeństwo mają sieroty, dzieci rodziców niezamożnych, mających świadectwo ubóstwa i wreszcie dzieci osób, pełniących służbę rządową.

— Z powodu częstych skarg na uchwały rad pedagogicznych, odrzucających podania o przyjęcie uczniów z braku miejsc i wobec tego, iż zażalenia pozostają zwykle bez odpowiedzi, ministeryum wyjaśniło, iż postanowienia rad mogą być przedstawione w okręgu naukowym, z przytoczeniem danych, zasługujących na uwzględnienie.

Zdrowie publiczne. Kąpiele ludowe wkrótce będą otwarte w Warszawie na placu Broni. Opłata przystępna. Jednocześnie powstają kąpiele bezpłatne dla ubogich, wychodzących ze szpitala.

Koleje i komunikacye. Ukończono budowę toru kolejowego odnogi Carycyńskiej, przy której pomocy towary nadwołżańskie można będzie wysyłać bezpośrednio ku morzu Czarnemu. Ruch osobowy i towarowy zacznie się w końcu października.

— Ministeryum pozwoliło na budowę kolei wązkotorowej od Berdyczowa do Janowa, z odnogami do Kalinowki i Wójtowiec. Roboty obejmuje „Pierwsze Towarzystwo dróg podjazdowych."

Wystawy i zjazdy. W r. 1899 odbędzie się w Petersburgu międzynarodowa wystawa elektryczności, urządzona staraniem Towarzystwa elektro-technicznego.

— W końcu r. b. odbędzie się w Petersburgu zjazd aptekarzy, na którym będą roztrząsane: stan pracowników i taksa.

Przemysł i handel. *Birż. Wied.* donoszą, iż ministeryum skarbu otrzymuje ciągle podania zarządów ziemskich i miejskich w Cesarstwie o pozwolenie Żydom pobytu na jarmarkach, z powodu bowiem stawianych przez władze policyjne trudności włościanie nie mogą sprzedawać koni, dla których nie mają w r. b. paszy, nie mogą zaś sprzedawać dlatego, iż jedynymi na jarmarkach kupcami koni są Żydzi.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż skutkiem wyjątkowej suszy wielu guberniom Cesarstwa grozi w r. p. nieurodzaj ozimin. W r. b. miejscowości dotknięte nieurodzajem, nie będą wymagały pomocy rządowej i potrzeby swoje pokryją zapasami.

— Z inicyatywy Towarzystwa ogrodniczego odbędzie się w r. b. pierwszy w kraju jarmark na owoce, mający na celu bezpośrednie zetknięcie wytwórców ze spożywcami. Jarmark rozpocznie się d. 10 października w Bagateli.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 31—36 dzieła Dalemagne'a p.t.: **Człowiek zwyrodniały.**

— Skutkiem trudności zabrania dużego pakunku w daleką podróż, sprzedam **roczniki „Prawdy" z ostatnich 15 lat za 30 rs.** z przeznaczeniem tej sumy na cele dobroczynne.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 12 Сентября 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.